

„...zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przemowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem, tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu”.

40 LAT „KAMENY”

1933
1973

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 9 IX 1973 Nr 18 (530)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ



bliższy kontakt z naszymi czytelnikami, organizując liczne spotkania członków kolegium redakcyjnego i zespołu w Lublinie...

Okazją ku temu będzie również zmiana szaty graficznej „Kamenu”, przejście z maszyn piaskowych na maszyny rotacyjne...

że Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i jej przewodniczący mgr Stanisław Bora wyprowadził nas wreszcie do półsuterenu i najstarsze piśmie społeczno-kulturalne w Polsce...

WRZESIEŃ jest dla „Kamenu” miesiącem jubileuszowym. Szczególnie — wrzesień tegoroczny, bowiem właśnie w tym miesiącu przed czterdziestu laty ukazał się w Chełmie Lubelskim pierwszy numer „Kamenu”.

Z okazji naszego jubileuszu nie przygotowaliśmy specjalnego numeru. Uczyniliśmy tak celowo: rocznicy nie chcemy „odfajkować”, ale rozciągnąć ją w czasie nawiązując

KULTURA 1973

Świat, w którym żyjemy

ZSRR: 250 MILIONÓW

Literatura

Najwięcej polskich tytułów ukazało się w pierwszym półroczu u naszych najbliższych sąsiadów — w Związku Radzieckim, Czechosłowacji i NRD...

Film

We wrześniu na ekrany naszych kin wchodzi film fabularny reżyserii Janusza Majewskiego — „Zadanie i medycyna”, oparty na noszącej ten sam tytuł powieści zmarłego przed rokiem wybitnego pisarza Michała Choromańskiego...

Teatr

„Sezon 1973/74 — informuje Adam Hanuszkiewicz — otworzymy na scenie Teatru Narodowego premierą „Wacława dziejów” Stefana Garczyńskiego, przyjaźni Adama Mickiewicza...

Sztuka

Kilka ciekawych wystaw zorganizowały ostatnio nowojorskie muzea. Metropolitan Museum prezentuje wspaniałą kolekcję wyrobów ze złota z różnych czasów...

W najbliższych numerach będziemy przypominać materiały (wiersze, opowiadania, noty redakcyjne itp.), które „Kamena” zamieszczała przed 40 laty...

Z okazji 40-lecia „Kamenu” chcieliśmy podziękować wszystkim naszym współpracownikom, sympatykom, czytelnikom...

Jeśli już dziękujemy, to nie sposób pominąć tu również Zarządu Głównego „Prasa, Książka, Ruch”. Bez dotacji naszego wydawcy trudno by mówić o wydawaniu pisma...

Muzyka

Wśród zapowiedzianych na głównej scenie Teatru Wielkiego w Warszawie premier operowych znajduje się „Tannhäuser” — pierwsza opera Wagnera wystawiona przez Teatr w nowym gmachu (styczeń 1974)...

Różne

Polska utrzymuje kontakty kulturalne z przeszło 80 krajami, przy czym wymiana z 48 spośród nich opiera się na zawieranych regularnie umowach i porozumieniach...

Lubliniana

Edward i Jerzy Uhle są z zawodu inżynierami mechanicznymi w zakładach azotowych w Puławach. Przed ośmiu laty zaczęli się zajmować lutnictwem, przystępując do budowy pierwszych skrypcy. Po trzech latach pracy przyjęci zostali do Stowarzyszenia Polskich Artystów Lutników...

PRZED miesiącem, 9 sierpnia br., jak doniósł Centralny Urząd Statystyczny ZSRR, przyszedł na świat noworodek — 250-milionowy obywatel Kraju Rad. Przy okazji CUS poinformował, że na początku 1973 r. 207 mln osób, czyli 83 proc. ogółu ludności ZSRR...

Wraz z wzrostem ludności podnosi się jej poziom umysłowy. W ciągu bieżącej pięcioletki ZSRR przechodzi do powszechnego obowiązku nauczania na szczeblu szkoły średniej...

ROZWÓJ TURYSTYKI A...

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła ostatnio raport wskazujący na gwałtowny wzrost chorób wenerycznych, co przypisuje się głównie... rozwojowi turystyki. Jak wynika z opublikowanych danych, w niektórych krajach europejskich w okresie od 1957 r. do 1971 r. zarejestrowano od 60 do 400 procent nowych zachorowań na syfilis i od 90 do 500 procent nowych zachorowań na rzeżączkę...

Penicylina uchodzi dzisiaj na świecie, we wszystkich stadiach syfilisu, za najlepsze lekarstwo. Raport stwierdza, że wyniki osiąga się znakomite, niemniej specjaliści WHO są zaniepokojeni, że niektóre zarzki rzeżączki wymagają większych dawek penicyliny w

OKRUTNI RODZICE

Wstrząsające dane opublikował francuski dziennik „Le Figaro”. Temat — okrucieństwo rodziców wobec ich własnych dzieci.

W USA — stwierdza pismo — w 1966 r. jedna zbrodnia na 22 była popełniana przez ojca lub matkę na osobie ich dziecka. Analogiczne dane ujawniono ostatnio w Danii i w innych państwach europejskich.

W samej Francji, w jednym z wielkich szpitali, szczegółowo przebadano i opisano ponad 240 przypadków tego rodzaju. Tak więc „obraz” kliniczny maltretowanego dziecka jest precyzyjnie ustalony.

Skąd biorą się te przejawy brutalności? Pediatrzy i psychoanalizy wyróżniają szereg typowych przyczyn. Z jednej strony może to być stwierdzona choroba psychiczna rodziców, ale jak podkreśla się wśród specjalistów, jest to tylko nieznaczny procent (ok. 3 proc.) rozpatrywanych przypadków.

KOBIETY TEŻ... NAPADAJĄ

Dwa londyńskie tygodniki „The Observer” oraz „They Sunday Times” zajęły się problemem przestępczości wśród kobiet. Tom Hart, dyrektor Cumberland Lodge Remand Home (rodzaj izby zatrzymań) w Londynie, do którego trafiają 15-16 dziewczęta, stwierdza: „Sześć lat temu dziewczyna oskarżona o dokonanie czynnej napaści, mogła się stać tematem dyskusji między członkami personelu. Obecnie takie przypadki są na porządku dziennym i nie wywołują specjalnego zainteresowania.

Są dwie podstawowe przyczyny zaobserwowanego ostatnio wzrostu przestępczości wśród młodych: po pierwsze dorośli akceptują gwałt, traktując go prawie jako część normalnej egzystencji; po drugie obniżył się szacunek dla prawdziwej ludzkiej wartości w walce o osiągnięcie dobrobytu.

Ta dziewczyna stawia jednak rodzicom coraz większe wymagania, aż wreszcie rodzice nie są w stanie im sprostać...



17 sierpnia zginął tragicznie w Himalajach ZBIGNIEW STEPEK, dziennikarz lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia, sekretarz zarządu lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich...

Serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci Ojca składa koł. OLDZE GULEWSKIEJ Kolegium redakcyjne i zespół „Kamenu”

„Hubal” na ekranie

Mirosław Derecki

34 latapo Wrześniu

ZAINTERESOWANIE „sprawą” majora „Hubala”, legendarnego dowódcy Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego z pierwszych miesięcy wojny, osiągnęło apogeum. Po kilku książkach rzucających nowe światło na historię tego oddziału i sylwetkę jego dowódcy, jakie ukazały się w ciągu ostatnich dwóch lat, wszedł właśnie na ekrany barwny, panoramiczny „Hubal” w reżyserii Bohdana Poręby. Film stworzony z rozmachem, z sercem, a co najważniejsze — z szacunkiem dla prawdy historycznej o człowieku, którego postawa patriotyczna oraz działalność wzbudziły swego czasu tyle sprzecznych opinii i tyle dyskusji: bohater czy szaleniec? Późno wprowadzić, bo w trzydziści lat po swojej śmierci, odnosi jednak „Hubal” zwycięstwo: zrozumielamy, że „święte szaleństwo” majora było po prostu odruchem gorącego patriotyzmu narodu, który w tamtych warunkach mógł się wyrazić właśnie w działalności jednostki.

Bohater czasu wojny... Dla współczesnego człowieka — problem o zacierających się coraz bardziej konturach. Zmarły niedawno jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich lekarzy i filozofów, prof. dr Antoni Kepiński, poruszając w swej książce „Rytm życia” zagadnienie ideału bohatera pisze: Nie wiadomo jeszcze, jaki ma być bohater naszej epoki, ale wiadomo, że ideał bohatera wojennego nie jest już pierwszoplanowy. Problem bohatera nie stał się jednak dla człowieka obojętny. Tendencje heroiczne istnieją u każdego człowieka, zwłaszcza w młodzieńczym okresie życia, a właściwie ukształtowanie ideału bohatera odgrywa ważną rolę w rozwoju osobowości.

Czy był zatem sens sięgania po tak mocny środek masowego przekazu, jakim jest film, i kierowania uwagi szerokich rzesz społeczeństwa na sprawę bądź co bądź dawno przebrzmiałą? Czy warto było, kiedy nie trudno przewidzieć, że po filmie musi rozpaść się nowa fala dyskusji na temat odosobnionego wydarzenia sprzed ponad ćwierćwiecza? Tak. Bo w przypadku i autentycznego i filmowego „Hubala” rzecz idzie nie o wizerunek nieustraszonego ułana, szarżującego w romantycznym zapale na szeregi wroga, przerastającego wszystkich wokół siłą, odwagą, poświęceniem i szlachetnością uczuć, ale o jednostkę ludzką niezwykle złożoną i skomplikowaną, próbującą rozpaczliwie odnaleźć swoje miejsce w otaczającym ją świecie.

Majora „Hubala” można, oczywiście, rozpatrywać w aspekcie heroiczno-batalistycznym, ale o ile bardziej interesujący, godny zainteresowania i „współczesny” staje się on wówczas, kiedy spojrzymy nań od strony „humanistycznej”, wojenną scenę traktując tylko jako barwne tło. Tak rozumiany przypadek majora „Hubala” staje się punktem wyjścia dla dyskusji na temat istoty poczynań ludzkich, na temat skomplikowanych problemów bohaterstwa i patriotyzmu pojmowanych w jak najszerszym aspekcie.

W książce „Tropem majora „Hubala”, a następnie w wystawionej na scenie Teatru im. J. Osterwy w Lublinie sztuce „Sprawa majora „Hubala”, starałem się zwrócić uwagę czytelnika i widza właśnie na ludzką złożoność postaci majora, mogącą stanowić punkt wyjścia do dyskusji na temat zagadnień bardziej ogólnych i nurtujących współczesne społeczeństwo i... najczęściej dyskusje rozpoczęte podczas spektaklu znacznie przekraczały zaplanowany czas jego trwania. Dlaczego tak się działo? Bo — posłusznie znowu słowami prof. Kepińskiego: człowiek współczesny stanął wobec trudnego zadania wypracowania nowego modelu bohatera i nowych form widzenia swej przeszłości i przyszłości oraz uporządkowania rozszerzonego pola świadomości. Dlaczego to zdanie tak bardzo jest ważne w dyskusji o „Hubalu”? Bo „Hubal” jest postacią trudną i skomplikowaną. A bohater trudny i skomplikowany jest modelem współczesnego bohatera.

Błędne i krzywdzące nieraz oceny majora „Hubala” wynikały nie tylko z ahistorecznego traktowania jego samego i jego partyzantki, ale również ze zbyt powierzchownego wglądu w historię życia, a co za tym idzie i w psychikę, mentalność, osobowość majora Henryka Dobrzańskiego, zanim jeszcze stał się on słynnym „Hubalem”. Wyrwany z kontekstu przez krytykę taki czy inny postępek majora w okresie jego działalności partyzanckiej, mógłby być zupełnie inaczej zrozumiany i oceniony przez tego samego krytyka, gdyby znał on motywy owego postępków mającego swoje źródło w historii całego życia „Hubala”. Trudno się dziwić, że przy takiej powierzchowności chrzozno bez opamiętania „Hubala” mianem „szalonego”, „wściekłego”, „warchola”, „wiesz nonsensu”, a jeden ze znanych krytyków i publicystów działalności Oddziału Wydzielonego określił jako sprawę „mocno wątpliwą”. Z gorczyca pisał później Marek Szymański — „Sep”, oficer oddziału i autor wydanej w latach późniejszych, bogato udokumentowanej

książki „Oddział majora „Hubala”: Gdy w końcu września 1939 r. mjr Dobrzański poprowadził chcących się bić dalej ułanów z Puszczy Augustowskiej pod Warszawę, a następnie w lasy Kielecczyzny — ani przypuszczał, że po latach niektórzy publicyści oprawią jego dzieje jak XVII-wieczny sztych w ramy ochlapane błotem. A przyjąwszy taką anachroniczną wizję majora i jego żołnierzy, będą się z nimi rozprawiać po swojemu, tworząc mity i legendy.

Dzisiaj te sprawy mamy już za sobą, a film Poręby został nakręcony z całym szacunkiem dla prawdy o „Hubalu”. Ale ze zrozumiałych, kompozycyjnych względów ów piękny, żołnierski epos, kładący przecież główny akcent na historię Henryka Dobrzańskiego w okresie, kiedy stanął on na czele Oddziału Wydzielonego „przemycia” dzieje życia majora do wybuchu wojny tylko w dialogach, w „podskórnej” warstwie rysunku postaci, zagraną przekonywająco przez Ryszarda Filipińskiego, i w ten sposób mogą one do pewnego stopnia umknąć uwadze niezorientowanego bliżej widza. Warto więc chyba w tym miejscu przypomnieć, kim był major „Hubal” zanim pamiętnego wrześniowego dnia wy-



Ryszard Filipiński w roli mjr. „Hubala”

wiedział posłuszeństwo dowódcy, Jerzemu Dąbrowskiemu, i przejął pułk pod swoją komendą, aby poprowadzić go na odsiecz Warszawy, a następnie... ku dramatycznej historii Oddziału Wydzielonego.

Henryk Feliks Józef Dobrzański urodził się 22 czerwca 1897 r. w Jaśle w rodzinie ziemiańskiej, zubożałej po powstaniu styczniowym. W domu panowała atmosfera gorącego patriotyzmu i kultuwowania wojskowych tradycji rodzinnych, matka — Maria z Lubienieckich była córką znanego powstańca z 1863 r., Włodzimierza Lubienieckiego, a wnuczką oficera z powstania listopadowego — Hipolita Lubienieckiego. Odnajdując się od dziecka niezwykłą fantazją i zamiłowaniem do jazdy konnej Henryk, jako siedemnastoletni słuchacz wydziału agronomii w Krakowie, zgłasza się w grudniu 1914 r. do Legionów. Służy w 2 pułku ułanów Legionów Polskich, po buncie legionistów pod Rarańczą zostaje internowany w obozie Saldabos na Węgrzech. Prze-

brany ucieka pod kulami z obozowego lazaretu; przemycany przez maszynistę na lokomotywie wraca w rodzinne strony. W listopadzie 1918 r. zgłasza się do swego macierzystego pułku, który nosi obecnie imię 2 Pułku Szwoleżerów Rokitańskich i z pułkiem tym na wiele lat związuje swoje losy. Szybko awansuje, znany jest z odwagi, akropulności i koleżeńskości. Czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari V klasy. W 1923 r. otrzymuje awans na rotmistrza, a przełożeni typują go do Szkoły Sztabu Generalnego. Jednak do SSG Dobrzański nie trafia. Jego kariera wojskowa ulega nagłe zahamowaniu. Musi mieć wielu wrogów, bo ma naturę zadzierną, jest człowiekiem niepokornym, krytykującym otwarcie karierowiczostwo i siłę wojskową. Nie wychodzi też na dobre Dobrzańskiemu powiązanie — poprzez żonę — z rodziną Hallerów. Dopiero w 1927 r. zostaje awansowany do stopnia majora, wówczas, gdy jest już od kilku lat znakomitym sportowcem, przydającym polskiemu jeździectwu licznych laurów na zawodach międzynarodowych. Znajduje się przez kilka lat w ścisłej czołówce jeździeckiej, ramię w ramię z Szoslandem, Römmlem i Królikiewiczem. Tylko w 1925 i 1926 r. brał udział w 54 konkursach podczas 7 zagranicznych meiningów, zdobywając łącznie 21 różnych nagród. Podczas zawodów w Londynie otrzymuje od księcia Wali złotą papierośnicę za wykonanie dwóch najlepszych parcoursów. W 1928 r. wchodzi w skład ekipy jeździeckiej reprezentującej Polskę na Olimpiadzie w Amsterdamie. Tymczasem zawodowe, wojskowe sprawy układają się Dobrzańskiemu nienajlepiej. Zaczyna „wędrować” po różnych pułkach. Jest oficerem w 18 Pułku Ułanów Pomorskich w Grudziądzu, w 1929 r. zostaje przeniesiony do 20 Pułku Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego stacjonującego w Rzeszowie, w 1934 r. obejmuje stanowisko kwatermistrza w 2 Pułku Strzelców Konnych w Hrubieszowie, a w 1936 r. — dowódcy szwadronu zapasowego 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie. Niechętni mu dowódcy urabiają o Dobrzańskim opinię, że to doskonały oficer czasu wojny, ale do życia koszarowego nie nadaje się. Powie o nim w przyszłości gen. Juliusz Römmel, że „Henia wszyscy lubili, ale przełożeni woleli nie mieć go w swoich jednostkach. Chętnie się go pozbywali.

Rozgoryczony i głęboko urażony decyduje się Dobrzański w ostatnim okresie poprzedzającym wojnę, na wystąpienie z wojska, wojska, w którym przez kilkanaście lat, nie awansując, dorobił się jedynie złośliwego przydomku — „żelaznego majora”. Wybuch wojny całkowicie odmienia sytuację. Jego zdolności wojskowe i wojenne doświadczenie zostają znów docenione, „oficer czasu wojny” obejmuje stanowisko zastępcy dowódcy 110 pułku ułanów, znajdującego się pod dowództwem ppik. Jerzego Dąbrowskiego. Rozpoczyna się wojenna epopeja majora „Hubala”...

Dzieje Oddziału Wydzielonego majora „Hubala” są w tej chwili opracowane dość wyczerpująco. Mniej natomiast w owych opracowaniach wiadomości na temat 110 pułku ułanów, z którego „wylął” się Oddział Wydzielony. Jest, oczywiście, znana droga bojowa pułku, natomiast poza kilkoma nazwiskami niewiele wiemy o jego organizacji, oficerach i żołnierzach. Warto więc tutaj przytoczyć parę faktów).

110 pułk ułanów utworzony ok. 15 września 1939 r., wchodził wraz z 101 i 102 pułkiem ułanów oraz 103 pułkiem szwoleżerów w skład Rezerwy Brygady Kawalerii pozostającej pod dowództwem ppik. Edmunda Heldta-Tarnasiewicza, a podporządkowanej Grupie gen. Przemyskiego. Na czele 110 pułku ułanów stał ppik. Jerzy Dąbrowski z 13 pułku ułanów, powołany do wojska ze stanu spoczynku oraz jego zastępcą, mjr Henryk Dobrzański — powołany ze stanu nieczynnego (I). Kwatermistrzem był rtm. Napoleon Kostanecki z 19 p. ul., adiutantem — rtm. Witold Biłski (3 p. ul.), oficerem ordynansowym — ppor. Tadeusz Henciszak (10 p. ul.), oficerem taktycznym pułku — ppłk. „hubalczyk” — kapitan saperów Maciej Kalenkiewicz, oficerem gospodarczym — wchm. Tadeusz Kaleszkiewicz, lekarzem — dr Kosłowski, a kapelanem ks. Bolesław Godlewski. I szwadronem pułku dowodził rtm. Tomasz Dworzecki-Bohdanowicz (10 p. ul.) na czele II szwadronu stał rtm. rez. Wiktor Moczulski (9 PSK) wreszcie IV szwadronem dowodził — rtm. Wacław Florowski (9 PSK). Pułk miał szwadron CKM dowodzony przez por. Sławomira Holoubka (10 PSK), pluton PPANC pod dowództwem ppor. Jana Magrowicza (10 p. ul.), taborem pułku dowodził por. rez. Maciej Maliszewski.

Są to oczywiście nazwiska tylko oficerów pełniących ważniejsze funkcje, charakter niniejszej publikacji nie pozwala na podanie wszystkich nazwisk i funkcji. Być może jednak nawet ta wycinkowa informacja spowoduje któregoś z żyjących żołnierzy jednostki do odezwania się i rozszerzenia naszych wiadomości o drodze bojowej majora Henryka Dobrzańskiego — „Hubala”.

Na razie obejrzymy, jak na ekranie major Dobrzański, ze słowami: „Na moją komendę, obejmuję pułk!” wchodzi do historii i do mądrej legendy.

* Na podstawie niepublikowanej pracy Janusza Wielhorskiego — „Kawaleria polska i bronie towarzyszące w kampanii wrześniowej 1939. Ordre de bataille i obsady personalne” znajdującej się w Instytucie im. W. Sikorskiego w Londynie.

WISIELLEC
Edmund Pietryk

TEN ubrany w zbyt kusy garniturek, nieco łysawy mężczyzna, od dłuższego czasu rozmieszał grupkę asystentów reżysera i kierownika produkcji z ekipy filmowej, która od kilku dni czyniła wokół siebie sporą sensację w całej okolicy. Krecono kilkunastominowy film według głośnej książki znanej pisarki i od paru dni asystenci poszukiwali bezskutecznie statysty, który zgodziłby się wystąpić w charakterze wisielca w jednym z ostatnich ujęć tego filmu. Jedni bali się w sposób wręcz zabobonny, inni wstydzili się ewentualnej śmieszności, przewiska „wisielca”, które mogłoby dożywno przyłączyć do prawowitego nazwiska ochotnika za te jedno osiemdziesiąt złotych, które oferował ewentualnemu ochotnikowi za „rolę” kierownik produkcji. Wreszcie znalazł się ten ni to wesolek, ni to okoliczny filozof i zgodził się na dyndanie na stryczku, na filmowym planie.

— Co to niby dla mnie to wiszenie, kiedy ja od urodzenia i tak rzadko naprawdę chodziłem po ziemi, wciąż mi się grunt spod stóp usuwał — mówił ten nowopozyskany statysta, czyli wisielec na ochotnika, do stojących wokół niego asystentów reżysera. — A jak się ten film nazywa? „Noce i dnie”? Ładny tytuł. Ja też mogę wam sprzedać temat do filmu. W naszym miasteczku mieszkał facet, który miał ulicę swojego imienia w Kolobrzegu, jako że po wojnie działał aktywnie w

tych miejscach. Większość nazw ulic zmieniono, a jego ulica została, bo nikt nie wiedział, kto to jest, więc na wszelki wypadek dali spokój tej jego ulicy. Ten gość już umarł, a jego ulica chyba istnieje. No i widziacie, panowie, jak często ludzie chodzą kilka metrów nad ziemią, ale zagrać wisielca w filmie i to w dodatku za pieniądze, to się jeden z drugim boi lub wstydzą. A ja lubię te spacerować kilka metrów nad ziemią — mamy u nas, przy Komendzie Straży Pożarnej, zespół amatorski, wystawialiśmy „Bitwę pod Stoczkiem”. Przyborowski i inne dzieła historyczne z dużym powodzeniem, a ja grałem i śpiewałem w tych przedstawieniach pierwsze role. Bo ja kocham sztukę, proszę pana i do naszego kina chodzę regularnie jako jeden z niewielu w miasteczku. A pan wie, kto chodzi do kina w naszym miasteczku? Tylko ludzie aż tak bardzo samotni, że nie stać ich nawet na towarzysztwo telewizora. A i piórem też niechęć władam — do naszego pisma pod tytułem „Strzałak” napisałem artykuł o naszym zespole amatorskim i proszę sobie wyobrazić, że dostałem za to trzydzieści pięć złotych — na ćwiartkę i na zakaszkę w sam raz mogło starczyć, bo człowiek ma przecież prawo raz na jakiś czas urządzić sobie jakieś święto, to czas pochodzić sobie kilka metrów nad ziemią z uśmiechem na ustach i z wesolą w duszy. Nie samym chlebem powszednim człowiek żyje — prawda, panowie? Są tu w oko-

licy ludzie bogaci, którzy tylko i wyłącznie trzymają się ziemi. Panowie widzą tą okazją wille na wzgórzu? To własność pewnego rzemieślnika — zwykłego czapnika. Wszyscy wiedzą, że na co dzień jada polewkę z czarnym chlebkiem, oszczędza na czym się da, ale dom sobie sprawił jak kapitalista. Z takim człowiekiem nie umiałbym gadać, to bardzo taki gość ziemi się trzyma, jak na mój gust, to i przedzie pod ziemię w drewnianej jesionce się dostanie. I w ten sposób nierozważnie swój los, swoje przeznaczenie prowokuje i wyzywa. A ja jednak dobrze się czuję w tej okolicy, bo mimo tego wisielczego strachu, ludność nasza lubi tutaj chodzić kilka metrów nad ziemią. Dawno temu przechodziła tędy armia napoleońska i na pamiątkę tego wydarzenia wzniesiono triumfalny łuk na cześć Napoleona, ale potężny dźwięk z huty, którą tutaj niedawno wybudowano, przejeżdżał akurat szosa i gruchnął w ten łuk, że tylko kupka gruzów z niego została. No i ludność zasądziła hutę o odszkodowanie na sumę półtora miliona złotych — tak tutaj Napoleona kochają, mimo że nikt mu nie jest swatem ni bratem. Znaczy to niezbicie, że ludzie tutaj lubią chodzić kilka metrów nad ziemią i to jest w nich sympatyka. I tak ja w ogóle myślę, że nie byłoby źle, gdyby sobie ludzie od czasu do czasu taką gimna-

stykę higieniczną dla duszy robili w postaci chodzenia nad ziemią, wtedy mniej może byłoby nienawiści, gwałtów różnych i wojen. Może ludzie za bardzo są znudzeni tą naszą szarą matką ziemią i z tej szarej nudy skaczą sobie do gardeł, trącają się i szczują na siebie. Jestem przekonany, że kilka metrów nad ziemią byłoby o wiele mniej nienawiści, złych uczuć i myśli niedobrych. Dlatego jestem do waszej dyspozycji, panowie, możemy iść na tę filmową szubienicę za osiemdziesiąt złotych od jednego wisielca!...

— A tak, reżyser już jest na planie, chodźmy, słonce się już pokazało. Idziemy — powiedział jeden z asystentów reżysera.

— Z największą ochotą. Z przyjemnością powiszę sobie kilka metrów nad ziemią, czyli w tej najbardziej ulubionej pozycji. I to w dodatku dla dobra ukołowanej przeze mnie sztuki filmowej. Jestem gotów, panowie — powiedział ten ni to okoliczny filozof, ni to wesolek i pomaszerał ochotco w towarzysztwie dwóch asystentów reżysera tego filmu w stronę mającej na planie filmowym szubienicy. Szedł śmiejąc się i podkaskując, ten najweselszy nieboszczyk na świecie, człowiek lubiący spacerować kilka metrów nad tą naszą szarąwą czasami, nieźle nam znaną ziemią.

ZNANI I NIEZNANI

Sekretarz z rolniczego zagłębia

Antoni Gruda



Władysław Zubala.

ROLNIK z dziada pradziada, działacz społeczny i polityczny z powołania, związany od wczesnej młodości z problemami powojennej wsi, za temat pracy magisterskiej (pisanej u doc. dr. Franciszka Mleczki w Wyższej Szkole Nauk Społecznych) wybrał Władysław Zubala rzecz z dziedziny socjologii: „Aktywność społeczno-gospodarcza członków rolniczej spółdzielni produkcyjnej w Łazowej.” Temat bodajże pierwszy raz podjęty przez dyplomanta WSNS, zaś dla niego samego szczególnie bliski — wszak droga życiowa chłopskiego syna z bilgorajskiej wsi do stanowiska sekretarza KP PZPR w Hrubieszowskim, nazywanego też „rolniczym zagłębem”, prowadziła przez wielkie przedsiębiorstwa rolne i rolniczą spółdzielczość produkcyjną. Mając dzisiaj lat niespełna czterdzieści, wspiera się Zubala mocno stopami o hrubieszowski czarnoziem.

Barczysta sylwetka, ujmujący uśmiech, zdecydowany sposób bycia; Zubala należy do tych, którzy wkładają w pracę maksimum zapału, a równocześnie potrafią spoglądać obiektywnie na sprawy, jakim się poświęcają. Nasze osiągnięcia są niewątpliwie pomyślne — powiada oceniając dokonania powiatu w czasie ostatnich dwóch lat — ale to wciąż nie znaczy, że są one wynikami optymalnymi. Mamy jeszcze wiele niewykorzystanych rezerw i uważam, że głównym celem partyjnego działania jest wyzwolenie tutaj, w Hrubieszowskim, inicjatyw produkcyjnej i społecznej.

Najstarszy syn spośród dziewięciorga rodzeństwa, urodzony we wsi Szody w rodzinie chłopsko-robotniczej, (ojciec, rolnik, całe życie „dorabiał” jako robotnik przeladunkowy na stacji kolejki wąskotorowej w Zwierzyncu), Władysław postanowił poświęcić się rolnictwu. Po ukończeniu szkoły podstawowej dostał się do Technikum Rolniczego w Janowicach, wówczas, w 1948 r. będących jeszcze odległą, podmiejską dzielnicą Zamościa.

Już w pierwszej klasie Zubala wstępuje do Związku Młodzieży Polskiej. W klasie maturalnej, jako jeden z czterech pierwszych w historii szkoły uczniów, zostaje członkiem PZPR. Z tej czwórki młodych ludzi tylko o jednym, Janie Dziwocię, słuch zaginął. Pozostali, choć losy rzuciły ich w późniejszych latach w różne zakątki kraju, ostatecznie odnaleźli się znowu na Lubelszczyźnie: Zubala osiadł w Hrubieszowie, Gołębiowski jest instruktorem Komitetu Powiatowego PZPR w Zamościu, zaś Franciszek Kozłowski sprawuje funkcję prezesa Powiatowej Spółdzielni Ogrodniczej w Tomaszowie Lubelskim.

Jak na rolnika z wykształcenia i aktywności partyjnego przystało, Zubala, mając niespełna 19 lat, wyruszył w teren szczególnie trudny, w województwo białostockie, gdzie zostaje instruktorem rolnym gminy Czyżewo. Mieszka „na kawalerce” u jednego z czyżewskich gospodarzy, nie mając chwili czasu dla siebie, podróżując po rozległym, podległym mu terenie piechotą, albo w najlepszym wypadku — furmanką. Gmina liczy 49 wsi rozrzuconych w promieniu 30 kilometrów. W całym powiecie jest piętnastu takich jak on instruktorów. Przeważnie m. in. agituja rolników na rzecz zakładania spółdzielni produkcyjnych. Ta agitacja łączy się z poważnym niebezpieczeństwem — w okolicy działała jeszcze niedobitka słynnej bandy „Huzara”. Oparciem dla młodego chłopaka, a także jego opiekunem jest sekretarz miejscowego Komitetu Gminnego PZPR, Włodzimierz Maksymiuk, sam jeszcze bardzo młody, dwudziestosiemioletni, typowy przykład aktywisty owych czasów — zapaleniec, poświęcający się sprawie bez reszty, wiodący życie samotnie, bo uważa, że założenie rodziny odbiłoby się ujemnie na jego pracy. To on wciąga Zubalę do pracy w Komitecie Gminnym.

W 1953 r. Władysław Zubala zostaje powołany do wojska. Po ukończeniu szkoły oficerów rezerwy pełni służbę w Wojskach Ochrony Pogranicza, w strażnicy zagubionej gdzieś na południowych rubieżach kraju. Początkowo zastępca dowódcy do spraw politycznych, pod koniec służby jest już przewodniczącym Zarządu Batalionowego Ośrodka Wyszkożenia Poborowych ZMP.

W wojsku Zubala czuł się niechętnie i nawet zastanawiał się nad pozostaniem w nim na stałe. Ale przecież bardziej ciągnęła go ziemia. Po dwudziestu siedmiu miesiącach służby decyduje się na przejście do rezerwy. Wraca na Lubelszczyznę, podejmuje pracę agronoma w spółdzielni produkcyjnej Dęby kolo Lubyczy Królewskiej. Szybko daje się poznać jako człowiek z otwartą głową, dobry organizator. Nie dziwnego, że już wkrótce jedzie na roczną praktykę do Kombnatu Rolnego Velke Pavlovicze, kolo Brna w Czechosłowacji. Jest jednym spośród 66 praktykantów, którzy wyjechali wówczas z Polski do Czechosłowacji. W Velkich Pavloviczech jest ich z owej grupy tylko dwóch. Studiują zagadnienia organizacji produkcji rolnej. Kombinat rozciąga się na przestrzeni ponad 8 tysięcy hektarów, w jego skład wchodzi 7 gospodarstw specjalizujących się w produkcji zwierzęcej i w uprawie winogron. Zubala, już z własnej inicjatywy, zaznajamia się z problemami czechosłowackiej spółdzielczości produkcyjnej. Jakby przewidywał, że wkrótce przyjdzie mu pracować w tym właśnie „płonie” i że tej pracy poświęci się na długie lata.

Istotnie. Tuż po powrocie do kraju, 1 marca 1960 r. Władysław Zubala otrzymuje etat starszego agronoma Powiatowego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych w Tomaszowie Lubelskim, w dwa lata później zostaje kierownikiem tego Związku. „Gospodaruje” na 3,5 tys. hektarów — na takim właśnie obszarze rozłożyło się 12 spółdzielni znajdujących się w powiecie.

Już w Dębach był sekretarzem POP, radnym Gromadzkiej Rady Narodowej i zastępcą członka plenum

Komitetu Powiatowego PZPR. Po powrocie z Czechosłowacji, jeszcze bardziej poświęca się pracy partyjnej. Jest sekretarzem POP, aktywistą Komitetu Powiatowego, w 1965 r. zostaje kierownikiem grupy aktywistów partyjnych dla Komitetu Gromadzkiego PZPR w Lubyczy Królewskiej, a następnie w Suścu, oraz członkiem Komisji Rewizyjnej Komitetu Powiatowego. Do nawału różnorodnych zajęć dochodzą jeszcze studia wyższe podjęte natychmiast po powrocie z zagranicy. Przez pięć lat od 1960 do 1965 roku, dwa dni w miesiącu spędza Władysław Zubala w Warszawie na wykładach, konsultacjach i seminariach, a każdą wolną godzinę — na ślęczeniu w domu nad skryptami i podręcznikami. Pod słowem „dom” należy rozumieć również rodzinę: żonę i dwoje dzieci i związane z tym obowiązki.

W 1967 r. mgr Zubala rozstaje się z bezpośrednią pracą w spółdzielni produkcyjnej. Obejmuje stanowisko kierownika Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Komitetu Powiatowego PZPR, a w jedenaście miesięcy później — stanowisko sekretarza rolnego KP w Tomaszowie Lubelskim. 24 marca 1972 r. kolejny sukces życiowy: podczas plenum Komitetu Powiatowego PZPR w Hrubieszowie Władysław Zubala zostaje wybrany I sekretarzem tutejszego Komitetu. Ma wówczas za sobą trzydzieści osiem i pół roku życia, ogromne doświadczenie w różnorodnych dziedzinach rolnictwa — przed sobą zaś powiat szczególnie ważny dla województwa i dla kraju, powiat czarnoziemny, bogactwem gleb ustępujący tylko kiełkiej Kazimierzy Wielkiej, powiat określony popularnie mianem „spichlerza Lubelszczyzny” albo „zagłębia rolniczego”.

Powiat to szczególnie, 250 sołectw, 11 gmin i jedno szesnastotysięczne miasto. Powiat na trzecim miejscu w województwie pod względem powierzchni, na drugim miejscu pod względem ilości użytków rolnych, ale zarazem posiadający najwięcej na Lubelszczyźnie gruntów ornych, 24169 gospodarstw rolnych, 22 PGR-y, 21 rolniczych spółdzielni produkcyjnych.

Powiat wybitnie rolniczy: spośród 105 tysięcy jego mieszkańców, 85 proc. żyje na wsi, a 74 proc. utrzymuje się z rolnictwa.

Jedna piąta zboża produkowanego w województwie lubelskim pochodzi z powiatu hrubieszowskiego, jedna czwarta uprawianych na Lubelszczyźnie buraków — ponad pół miliona ton! Dwie ogromne cukrownie — Strzyżów i Werbkowice — dają 80 tys. ton cukru. Po hrubieszowskich drogach musi się przewieźć rocznie 1100 milionów ton płodów rolnych i bezpośrednich środków produkcji! A przy tym powiat posiada najradszą w województwie sieć dróg o twardej nawierzchni: tylko 28 na 100 km. To już się zaczyna zmieniać ale wciąż zdarzają się takie miejscowości, gdzie w porze deszczowej można dojechać nawet nie traktoorem czy furmanką, ale tylko konno!

Wszystko robi się tutaj pod kątem jak najszybszego zabezpieczenia bazy dla rolnictwa. Stolica powiatu nie ma jeszcze kanalizacji, wodociągi w budowie, w budowie dom kultury, ale jedna z najważniejszych inwestycji — ogromny elewator zostanie oddany do użytku planowo, w tym roku.

Ostatnie dwa lata przyniosły dynamiczny rozwój produkcji rolnej i przemysłu rolno-spożywczego. Założono wzrost produkcji w stopniu znacznie wyższym od wskaźników krajowych. W obecnej pięcioletniej produkcji rolnej ma wzrosnąć o 28 proc., przy wzroście plonów głównych upraw o 27 proc., pogłowia bydła o 27,7 proc. i trzody chlewnej o 37,5 proc.

My sobie stawiamy takie zadania — powiada mgr Zubala — żeby mieć w powiecie 35 kwintali zboża z hektara, ziemniaków 220 q, buraków cukrowych — 440 q. Liczba bydła powinna wzrosnąć do 71 sztuk na 100 hektarów, a trzody chlewnej do 80. Nastawiamy się na specjalizację w chowie bydła, z produkcji bydła powiat chce uzyskać gros dochodów.

W ciągu dwóch lat Hrubieszowskie, z założonego na pięcioletkę wzrostu produkcji rolnej o 23 proc., „wypracowało” już 15 proc. (Produkcja przemysłu i usług wzrosła o 34,7 proc.) Za postęp, za wyniki i za podjęte zobowiązania w ramach „banku 30 miliardów” powiat otrzymał od KC PZPR i Prezydium Rządu — dyplom uznania.

Wzrost produkcji przynosił wzrost dochodów. W ciągu dwóch lat rolnicy zarobili o 43 proc. więcej. W przeliczeniu na złotówki wynosi to 381 mln zł.

Hrubieszowskie w przyspieszonym tempie mechanizuje się. 1200 ciągników w kółkach rolnych, 500 w posiadaniu indywidualnych gospodarzy. Po polach powiatu jeździ 50 „kółkowych” kombajnów — dużo w skali województwa, zbyt mało jak na potrzeby „rolniczego zagłębia”. Powiat woła o kombajny, o snopowiązalki, o młocarnie...

Sekretarz Zubala milknie na chwilę i być może w czasie owej minuty milczenia, pozostawionej reporterowi na porządkowanie notatek, popatruje w przeszłość, w zamglony pejzaż wsi Czyżewo, gdzie błotnistą drogą maszerują rodyktowani — świeżo upieczony instruktor rolny i niewiele od niego starszy sekretarz partii, Włodzimierz Maksymiuk... Tak — odzywa się wreszcie — tak się wtedy pracowało: w kilku i „na piechotę”. A dzisiaj mam do pomocy całą „motoryzowaną” armię fachowców. No i tych 168 organizacji partyjnych rozrzuconych po wsiach. Ponad 1700 członków partii...

9 września święto narodowe LRB

Walery Petrow
(ur. 1920 r.)

W łagodną jesień
(fragmenty poematu)

I oto w nasz sofijski dom w komplecie rodzina nasza wraca znów po letcie spędzonym wśród warneńskich złotych pól. W tym czasie dzięki wina sięgło aż do balkoniku. A przez wiatr posiany na parasole zakwitł kwiat nieznan, w rozbitej warze ziemi garść znalazłszy. I dom wygląda inny niżli zawsze, jak gdyby nowy, chociaż nic innego w nim nie ma, od pobytu poprzedniego nic w nim się nie zmieniło. Znowu kierat zwykłego toku życia nas zabiera w codzienną swoją podróż niezmożoną; walizki stoją wciąż nie otworzone, a już córeczki naszej na ulicy wesóły głos zwuljuje pół dzielnicy dzieciami, co podają z okrzykami zobaczyć jej pudełko z muszelkami. Na dale żona sprząta już pokoje, a mój gabinet i w nim biurko moje na dalszą pracę witac mnie gotowe. I tak zaczyna się poemat nowy w powiewie lekkim jesiennego smutku, przy telefonie, który stał cichutko kilka tygodni, przed maszyną małą, dla której całe lato dojrzewały — czyż lato? całe życie! — te dystychy.

Wczesną młodością gdyś tej doznał swojej duchowej męki, sam w swoim pokoju, patrzysz jak wciąż się w ramce jednakowej zmieniają pory lat stare na nowe. Ten szereg: wiosna, lato, jesień, zima — gdzie zwykli ludzie mają zwykły klimat swojego życia, co brzmi prostym tonem. Ci się wiosennym cieszą nieboskłonem i biegną z dziećmi swymi na konikach, kupują ptaszka im lub balonika, żyją z błędami, śmiechem, marzeniami. Czemu nie możesz i ty ich śladami w błędach, marzeniach, wśród ziemskich radości żyć tak zwyczajnie, po ludzku, najprościej?

Tak sobie marzę w pokoju, co stoi pokryty pyłem, bo kobiety moje pozostawiły mnie samym. Lity ledwie dostrzegam w mroku. Trzy czy cztery młode postacie głośno gadające biegną za oknem, z mezu wracające, a każda chwali wybraną drużynę. Czuję wyraźnie jak z zapachem dymu, różnych dżemów i jesiennych kwiatów wiosennie świeży powiew tu dolata, i pachnie cegłą, wapnem i pokostem, a ja się czuję tak bliski po prostu człowiekowi, który tam w dole przechodzi, i dobrze mi jest i na sercu słodziej, że już mnie odbił smutek, co brzemieniem gniołł mi dotychczas, i że świeżym tchnieniem pierś moja dyszy i myśl we mnie świeża. Telewizyjna zdoła świeci wieża swoim czerwonym sygnałem promiennym. Spokojnie gaśnie cichy dzień jesienny.

Bożydar Bożyłow
(ur. 1923 r.)

Bolesne

Zazdrościsz ci że nie jesteś poetą. Ty coś czynisz, co da się odrzuć ocenić. Przemawiasz w sądzie, układasz fryzury, grasz w orkiestrze albo na scenie.

Ja czynię coś tak względnego, tak niejasnego, tak niebezpiecznego, że czasem myślę, czy w ogóle to czynię, czy tylko oklamuję się we śnie.

Każdy osiąga doskonałość, jeżeli ją osiąga. Ona ma wymiary, cenę i jakość. A być poetą to cudactwo, coś niejasnego, coś niebezpiecznego, względnie i wątpliwego, coś podobnego do nocnego tchnienia, coś, co kryje wszystkie rzeczy, aby im dać kontury, wymiary i linienia.

Damian P. Damianow
(ur. 1935 r.)

Wieczór mi dosięga do ramienia. Niebo mnie kąsaje wiatru tchnieniem. A ja idę cienką kreską jak promieniem — między niebem wdrują i ziemią. Głowę swą oparty o sklepienie, kroki po stwardniałej glebie stawiam, idę i w horyzont się przemieniam. Mój jedyny horyzont zostawiam. Sobą świat wypelniam w dół i wwyż, strop ku ziemi przybliżam w czułości. I wschód wszelki niosę niby krzyż, gdzie rozpięto jest meko ciemności.

Tłumaczył z bułgarskiego
Tadeusz Ross

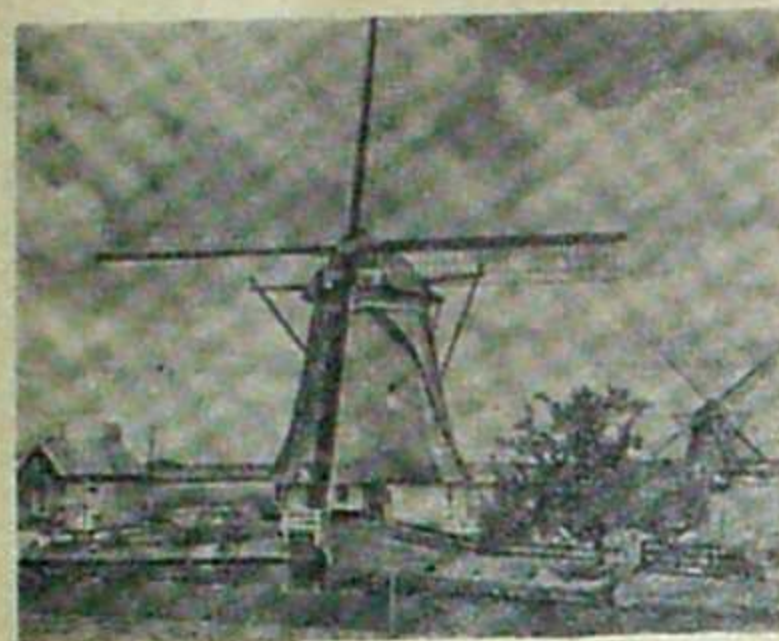
Z
P
O
E
Z
J
I
B
U
Ł
G
A
R
S
K
I
E
J

AMSTERDAM liczy niespełna milion mieszkańców, ale ruch w nim taki (przynajmniej w sierpniu 1973), jak by miał trzy razy więcej. Zaparkowanie samochodu zaliczyć można do wyczynów, których nie powstydziliby się francuscy kaskaderzy z Auto-Rodeo. Tym bardziej, iż sekunda zagapienia, albo zła ocena odległości zakończyć się mogą w jednym z nielicznych kanałów, co nawet w najbardziej upalny dzień trudno uznać za orzekwiałą kąpiel.

Czym jest w ogóle Amsterdam dla Holandii? Przede wszystkim największym miastem, a po wtóre — stolicą. Gdy się o tym w miejscu dowiedziałem, zwątpiłem w mojego nauczyciela geografii i w podręcznik, który mi zalecił. Tam bowiem stało jak byk, że stolicą Holandii jest Haga. Stwierdzenie to nie było jednak oczywistym oszustwem. Holandia bowiem, jako kraj bogaty, zafundowała sobie dwie stolice. W Hadze rezydują przedstawicielstwa dyplomatyczne i rząd, a poza tym w każdy trzeci wtorek września królowa udaje się w złotej karecie do Ridderzaal i otwiera w nim sesję parlamentu. Właściwą jednak stolicą, taką, jaką mają wszystkie kraje na świecie, jest Amsterdam. Od niedawna Amsterdam jeszcze bardziej awansował. Jest bowiem nie tylko stolicą Holandii. A czego jeszcze? Nie traćcie cierpliwości i czytajcie dalej!

Ile kosztują spodnie?

Zależy jakie. Są tanie i drogie. Za 30 guldenów (czyli florenów) można kupić znośnie przyzwoite spodnie. Jeśli natomiast ktoś ma ochotę na spodnie krótkie, obszar-



Cóż jest dla holenderskiego pejzażu bardziej typowe niż wiatrak? A spełniają one nie dekoracyjną, lecz bardzo pożyteczną rolę.

Fot. Archiwum

pane (tak jak by ktoś brutalnie i niedbale oderwał część nogawki) i — bardzo brudne, msią bulnągę znacznie więcej. Co najmniej 60 guldenów. Spodnie z latami na pupie są jeszcze droższe.

Spora część ludzi na amsterdamskiej ulicy chodzi właśnie w takich spodniach. Góra składa się z równie brudnej i tandetnej koczuli bawełnianej. Na nogach przeważnie nie się nie nosi, co zresztą nie bardzo rzuca się w oczy, ponieważ stopy są tak brudne, iż trudno dociec, że ich właściciel jest bosy. Ten wytworny strój uzupełniają okazałe, srebrne naszyjniki (srebrne), czymś tam zakończone (przeważnie znakami Zodiaku). Włosy — bez względu na płeć — sięgają połowy pleców. Modne są — również bez względu na płeć — warkoczki, lub przepaski na czoło. Panów od pań odróżnia się dość łatwo. Ci pierwsi bowiem mają brody, sięgające pół piersi i wąsy, te drugie ich nie mają. Wieszczę Adam, pisząc o długich brodach, kręconych wąsach i sukniach plugawych miał niewątpliwie na myśli także właśnie postacie.

Z włóczęgi po Europie (I)

GORĄCE LATO W NISKIM KRAJU

Krzysztof Janowicz

Dzieje się to wszystko dlatego, że Amsterdam stał się Mekką hippiesów z całego świata (stad ta aluzja na wstępie do drugiej stolicy). Dlaczego wybrali właśnie Amsterdam? Może dlatego, iż jest on tak świetnie położony na szlakach komunikacyjnych ze wszystkich kontynentów? Może dlatego, że ma w sobie coś ze specyficznej atmosfery? A może po prostu dlatego, że w ubiegłym roku wygnano hippiesów z wielkim hukiem i trzaskiem ze spokojnej i dostojnej Hagi? Tak czy inaczej nikogo nie w Amsterdamie nie dziwi, a jedyną osobą, która obejrzała się z otwartymi głupio ustami za panią, odzianą w długą szatę z różowej gazy, otoczoną rurami plastikowymi różnej grubości i dierzącą w dłoni również plastikowy kanister samochodowy — byłem ja.

Kraina tysiąca uciech

W pobliżu czcigodnych gotyckich kościołów, w bezpośrednim sąsiedztwie domu, w którym żył i tworzył mistrz Rembrandt, usadowiła się dzielnica uciech o charakterze zdecydowanie jednoznacznym. Pięćset — jak podają kompetentne statystyki — pań przywabia tu przez cały dzień klientów, przy czym czynią to wygodnie. Po prostu rozsiadają się w oknie wystawowym w ponętym neogłazu, uwidaczniającym to, co trzeba, i czekają na amatorów swoich wzdzięków.

Nie na tym koniec. Jaskrawe reklamy zachęcają do odwiedzenia gościnnych progów niezliczonych sex-shopów, w których można nabyć bogato ilustrowane pisma (z tekstami lub bez), różne rekwiizyty uatrakcyjniające miłosne igraszki, lub obejrzyć „gorące filmy”. Całoci dopelnia 20 teatrów, nie wystawiających wszelako na swoich deskach ani „Hamleta”, ani też „Ifigenii w Taurydzie”.

Klientela nie jest zbyt wybredna. Trudno jednak w sex-shopach albo w frywolnych teatrzykach spotkać rdzennego amsterdamskiego, lub choćby Holendra. Wątpię zresztą, aby flegmatyczni i purytanicy Holendrzy gustowali w takich rozrywkach. Sądzę po liczbie dzieci (jeden z największych przyrostów naturalnych w Europie, aż dziś, gdzie się to wszystko mieści na takim skrawku ziemi), załatwiają „te sprawy” bogobojań i nie gwołi uciechy, lecz gwołi rozmożnienia. Ponieważ porno-przemysł uchodzi za świetny byznes, ktoś musi odwiedzać dzielnicę tysiąca uciech. Są to prawie w 100 procentach turyści. Poczynając od wstydliwie podekscytowanych Amerykanów, objuczonych sprzętem fotograficznym, który mógłby obsłużyć 5 fotoreporterów CAF, a kończąc na krewkich i krzep-

kich marynarzach spod wszystkich bander świata.

Alliści ciężkie i groźne chmury zaczęły się gromadzić nad porno-byznosem. Magistrat Amsterdamu, zaniepokojony falą przestępstw, która zaczęła towarzyszyć falli seksu, postanowił rozprawić się z tym gniazdem rozpusty. Znalezione wspaniały kruczek prawny. Uznano, iż wszystkie sex-shopy i teatrzyki rozlokowały się w starych partycyjszowskich domach, które znajdują się pod ochroną jako zabytki. Kampanię rozpoczęto pod hasłem: „Akcja czystej Starówki”. Właściciele sex-lokali otrzymali polecenie doprowadzenia fasad domów do pierwotnego stanu, co oznacza nie tylko konieczność rozpoczęcia prac konserwatorskich i murarskich, lecz przede wszystkim — i to jest ten najboleśniejszy cios — zdjęcie wszystkich reklam. A bez tych reklam sex-przemysł będzie jak ryba bez wody. Udusi się. Frywolni byznesmeni próbują się bronić, jak mogą, ale wszystko wskazuje na to, że nie bardzo im to się uda. Prasa strój sobie co prawda żarty z tej walki magistrat kontra pornografia, niemniej jednak sympatie amsterdamskich są zdecydowanie po stronie ojców miasta.

Konieczność jest matką

Holandia to, oczywiście, nie tylko Amsterdam, a Amsterdam, to nie tylko dzielnica uciech. To wszystko, co dla turysty jest przedmiotem zainteresowania z dreszczykiem, stanowi dla Holendra margines życia, często nawet niezauważalny. Holendrzy zresztą nie mają czasu na takie głupstwa. Na pracy im bowiem nie zbywa. Zdawałoby się, że twarda i nieustępliwa walka z przyrodą o każdą pięćdziesiątą ziemi stanowi wyłączny przywilej górali. O jaką ziemię można walczyć w tym płaskim jak stół i bezleśnym kraju, gdzie żywna gleba, podlana obficie nawozami daje plony, wysuwające Holandię na jedno z pierwszych miejsc w światowej lidze rolniczej? A można, można. Tyle, że walczy się nie z górami, lecz z morzem. I trzeba mu wyrwać tę ziemię, w przeciwnym bowiem razie Holendrzy niedługo nie mieliby się gdzie podziąć. Już dzisiaj na tym obszarze, większym o 8,5 tys. km kw. od województwa lubelskiego, mieszka blisko 13 mln ludzi! Gdyby Polska miała gęstość zaludnienia równą Holandii, wówczas 120 milionów Lechów zamieszkałoby nasz piękny kraj. I nie mielibyśmy co wyrwać morzu. Chyba, że uszyszlibyśmy Zatokę Pucką.

Malownicze wiatraki, tak charakterystyczne dla holenderskiego krajobrazu, nie spełniają bynajmniej roli dekoracyjnej i nie są

przeznaczone dla uciechy turystów. Stałe, gdy tylko zawieje wiaterek, wypompowują nadmiar wody, osuszają podmokłe tereny, przygotowują najniższą ziemię pod uprawy. Ale wiatraki to tylko zabawka. Poważna sprawa, to 32-kilometrowa tama, która oddzieliła od morza tzw. Zuider Zee. Albo realizowany obecnie plan „Delta”. Jest to zamierzenie gigantyczne. Dzięki realizacji „Delty” zamknie się tamami cztery zatoki między Skaldą a Nieuwe Waterweg, co zabezpieczy ogromny szmat ziemi przed zalewem morza i skróci linię wybrzeża o 700 km!

Statystyki — oficjalne — dzielą jeszcze ludność Holandii na miejską i wiejską. Trzeba jednak nie lada wyobraźni, aby zrozumieć, o co tu chodzi. Przemierzylem Holandię we wszystkich kierunkach, zatrzymywałem się w dziesiątkach miejscowości, ale wsi — takiej cichej, sielskiej, otoczonej złocistymi łąkami, z gnojówkami na zapleczu, z rojami pszczoł nad ukwieconymi łąkami — jako żywo nie spotkałem. Kończyło się po prostu jedno miasto (lub miasteczko) i zaczynało następne. Czasami była dłuższa przerwa, na którą składały się łąki, okolone drutem pod napięciem elektrycznym i wypełnione krowami. Drut był po to, aby krowy nie wylażyły na autostradę, co nie wyszłoby na zdrowie ani im, ani kierowcom i pojazdom. Drzewa zdarzają się, ale tylko w dużych miastach.

Miasteczka wyglądają trochę jak dekoracja teatralna. Jakieś nierzeczywiste. Domki przeważnie małe, najwyżej jednopiętrowe, niesamowicie wręcz schludne, jakby wczoraj wyszorowane szczotką ryżową i szarym mydłem. W dużych miastach też mnóstwo takich domków. Zdarzają się, co prawda, gmazyska okazałe, ale są to albo siedziby oficjalów, albo muzea. Nawet pałac królewski w Amsterdamie nie jest za wielki.

Jedynym wyjątkiem jest Rotterdam. W czasie wojny pozostały z niego dymiące zgłiszczca. Obudowa miała charakter supernowoczesny. Jest więc Rotterdam miastem z betonu, szkła i aluminium, co sprawia imponujące wrażenie, ale mieszkać tam by się nie chciało. Ta supernowoczesność spowodowała, że Rotterdam jest jakimś „zimny”, nieprzytulny, za świeży. I nie jest to tylko opinia moja, przybyłszy, który na krótko odwiedził, lecz także — co gorsza — rdzennych rotterdamczyków, którzy żalą się placizwie, że w ich mieście trudno się zaklimatyzować i taka supernowoczesność jest na dłuższą metę nie do wytrzymania.

Na zakończenie powinno być coś o tulipanach. Ponieważ jednak w czasie swojej włóczęgi po Holandii nie widziałem ani jednego tulipana, stąd wniosek, że albo nie wiem, jak wygląda tulipan, albo ta sprawa jest przereklamowana. Tertium non datur.

Dziesięć dni we Lwowie (IV)

Baranow i jego kołchoz

Marek Adam Jaworski

TEN czwarty, ostatni, odcinek z mego pobytu we Lwowie będzie najkrótszy. Piszę go też nieco później, po urlopie, wrócenia nieco się już zatarły, a poza tym w tzw. międzyczasie wypowiedziałem się na łamach „Zycia Literackiego”, chcąc dotrzeć do szerszego kręgu odbiorców. Nie chcę się więc powtarzać, chociaż nieco materiału mam jeszcze w notesie i na taśmie magnetofonowej. Czuję się jednak w obowiązku wspomnieć o wizycie w kołchozie im. Karola Marksa, leżącym kilkanaście kilometrów na północ od Lwowa.

Dziennik „Prawda” z 7 czerwca 1971 roku pisał:

Przewodniczący kołchozu im. Karola Marksa, Michal Michajłowicz Baranow, obronił pracę habilitacyjną. Tematem jego pracy naukowej są bodźce materialne i udoskonalenie form zapłaty za pracę w kołchozach. Wnioski teoretyczne uczonego opierają się na wielkim doświadczeniu jego pracy jako przewodniczącego kołchozu, który jest jednym z największych i najbogatszych w obwodzie.

Znam ten cytat z reportażu Piotra Inhulskiego, poświęconego osiągnięciom kołchozu. Zanim jednak spotkam się z Baranowem oglądam małe muzeum, przypominające dawne dzieje gospodarstwa. Na czółowym miejscu wisi w dużym powiększeniu zdjęcie Aleksiego Błokurego, pierwszego sekretarza organizacji partyjnej kołchozu, zamordowanego przez nacjonalistów ukraińskich w 1949 roku. Obok fotografia

Maril Gnatyszyn, komunistki, współzalożycielki kołchozu, która podzieliła los Błokurego. Raz miała szczęście: uciekła, za drugim razem dosięgły ją i jej dziecko kule bandytów. Jest też i zdjęcie Baranowa, który od 1945 r. piastuje funkcję przewodniczącego kołchozu. Rzadki to wypadek, by tak długo utrzymać się na jednym miejscu.

Piotr Inhulski, który mi przez cały czas towarzyszy, dodaje:

— Baranow to bardzo interesująca postać. W czasie wojny walczył w szeregach partyzanckich z faszystami. Już pracując w kołchozie zdobył średnie i wyższe wykształcenie, a ostatnie obronił pracę habilitacyjną. Jego artykuły zamieszcza wiele pism fachowych, ma wykłady na uniwersytecie, teorię ściśle wiąże z praktyką. Po każdej publikacji otrzymuje stopy listów z całego

Związku Radzieckiego. Przewodniczący kołchozów proszą o szereg informacji, domagają się wprost wymiany doświadczeń. A Baranow rzeczywiście ma się czym dzielić i chętnie to robi. Sam nie wiem, skąd on ma tyle czasu?

Ale to już dzień dzisiejszy. Planuje w muzeum mówić o początkach pracy kolektywnej. Jeden z dokumentów stwierdza, że kołchoz powstał 12 lutego 1940 roku. Był to pierwszy kołchoz w okręgu lwowskim. Początkowo należało doń 112 gospodarstw, a przewodniczącym był Dmitro Krakowiecki. Hitlerowska okupacja przerwała twórczą pracę. Obecnie kołchoz skupia 5 000 hektarów ziemi, w tym 3 229 hektarów ziemi ornej.

A oto grupowe zdjęcie uczestników pierwszego wesela w kołchozie. Był rok 1948. Wśród gości jest i Piotr Inhulski.

— To ostatnie zdjęcie pana młodego. Kilka dni po ślubie zabili go banderowcy — mówi, a ja myślę o tym, jak podobne były te pierwsze lata powojenne po obu stronach granicy...

M. M. Baranow przeprosza za spóźnienie. Wrócił właśnie z narady w komitecie partyjnym. Spacerujemy po starym parku, na każdym kroku widać troskę o roślinność. Na wet gdy budowano amfiteatr postanowiono nie ścinać wieloletnich drzew. Właśnie na scenie odbywa się próba przed sobotnią zabawą. Nie chcemy przeskakać, M. M. Baranow zaprasza do swojego gabinetu, urządzonego z dużym smakiem.

Na wstępie dowiaduję się, że w kołchozie mieszka 4000 osób, z tego 1050 pracuje bezpośrednio na roli. Kobiet jest więcej niż mężczyzn, młodzieży — do 30 lat — około 300. Średni miesięczny zarobek kołchoźnika wynosi 110—120 rubli, a robocza dniówka 5 rubli. Oczywiście każdy może mieć działkę przyzgodową od 0,25 do 0,5 ha, na niej hodować krowę, dwie świnię i „skolko chocysz” kur i królików. Kołchoźnicy otrzymują zapłatę jedynie w rublach.

— Byliśmy pierwsi w Związku Radzieckim, którzy zrezygnowali z zapłaty w naturze. Ludzie są bardzo z tego zadowoleni. U nas dniówka rosła bardzo szybko, jeszcze przed kilkoma laty wynosiła po 2—3 ruble, a przed dziesięcioma laty niecały rubel. Ja wam nie mówię tego dla propagandy (cytuje dosłownie z magnetofonu), ale po prostu uciechwie, tak, jak jest. Wielu naszych kołchoźników pobudowało sobie nowe domy, kryte blachą lub dachówką. Łatwiej teraz o materiały, a gdy są pieniądze i własna siła robocza dlańcego człowieka ma mieszkać w kurniku?

Pytam o park maszynowy. Kołchoz ma 55 traktorów i 18 kombajnów.

— To nam w zupełności wystarcza — stwierdza M. M. Baranow. I po chwili dodaje: — Bo trzeba wam wiedzieć, że tutaj przed wojną brak było nawet światła elektrycznego, nie było żadnej drogi. Dziś w każdej chacie modecie urzęd telewizor. Oglądaliście nasze muzeum, prawda? Widzicie, jaka to nędzna budowla, trzy izby zaledwie, a w daw-



Fot. L. Leo



Fot. J. Wojtkiewicz

nych czasach to była siedziba obszar- nika. Jak tak mieszkał obszar- niki, to możecie sobie wyobrazić, w ja- kich warunkach żyli sami chłopcy!

— Jakże uprawy u was dominują?

— Początkowo wysiewaliśmy głów- nie żyto, a teraz pszenicę, buraki cukrowe, len, ziemniaki. Średnio zbieramy z hektara 35 q pszenicy, minimum 500 q buraków cukrowych a na niektórych obszarach nawet 700 i 800 q, 200 q ziemniaków. Na- stawiamy się na gospodarkę hodo- wlaną, dostarczamy państwu w cią- gu roku 600—700 tysięcy kilogra- mów mięsa. Co jest ciekawe? To, że mamy własny przemysł prze- twórczy, który też daje ludziom nie- zły zarobek. Wykorzystujemy sady kolchozowe a także sady na dział- kach przyzagrodowych, zapewniając naszym zbyt owoców. Robimy więc różnego rodzaju dzemy i kompoty. Ponadto zajmujemy się inną pro- dukcją, dostarczając na rynek tak- że poszukiwane wieciska metalowe do wełk. Aby nie marnować su- rowców, z odpadów wyrabiamy gu- ziki oraz spinki do włosów. Poży- tek jest dwustronny: po pierwsze zwiększa się dochód kolchozu, a po drugie nie ma u nas martwego sezonu, produkcja trwa bowiem przez cały rok. Dlatego nie notuje- my ucieczki ludzi do miasta, wprost przeciwnie, dajemy nawet pracę dziełcom, dojeżdżającym do nas ze Lwowa.

M. M. Baranow jest bardzo bez- pośredni, rozmowę o produkcji prze- pisał opowiadając o swoim życiu. Przed wojną mieszkał w Mińsku Mazowieckim, gdzie ukończył sied- dem klas szkoły powszechnej. Jego

najbliższa rodzina zginęła w czasie okupacji, on sam związał się z rad- dzieckim ruchem oporu. Do ZSRR uciekł przed hitlerowcami i tam już pozostał. Oczywiście chciałby zoba- czyć rodzinne strony, ale — chociaż sprawy polskie go interesują, stale czyta np. „Politykę” — życie swoje związał z tym kolchozem i z pracą naukową. O, właśnie pojutrze odwo- żą samolotem córkę do Moskwy. U- kończyła szkołę średnią ze złotym medalem, teraz będzie studiować medycynę. Syn jest inżynierem. Jak i ojciec pracuje w kolchozie.

— Gdy przyjeździecie tu następnym razem — mówi na pożegnanie — będziecie mogli zostać dłużej i zoba- czyć na własne oczy, jak tutaj gos- podarujemy. Budujemy właśnie własny hotel, chętnie odstawimy pokój.

— A może przedtem zobaczymy się w Polsce?

— Jak zaprosicie, albo jeśli jakaś wasza spółdzielnia produkcyjna udzieli gościny. Chętnie podzielę się swymi doświadczeniami!

Dziesięciodniowy pobyt we Lwo- wie dobiega końca. Ostatnie ufełski dloni. Roman Lubkiński obdarowuje mnie znakomitą radziecką neską, Lida Fedoriwowa zjawia się na sta- cji przed odejściem pociągu z świe- żo zerwanymi truskawkami i prze- prasza, że nie ma męża, który mu- siał nagle wyjechać do Iwano-Fran- kiwskiej.

Pociąg rusza, wyglądam oknem do- poki nie znikną na peronie sylwetki tak miłych gospodarzy.

Po godzinie — granica. Kiedy się znowu zobaczymy?

CYBERNETYKA kojarzy nam się zazwyczaj z takimi naukami jak: mechanika, automatyka, elektronika. Zastosowa- nie jej sięga jednak da- leko poza te dyscypliny i czyni z niej coś w rodzaju metody mogącej znajdować zastosowanie w różnych dziedzinach wiedzy: w naukach społecznych i przyrodniczych. Z tego względu rola jej jest zbliżona do funkcji, jaką pełniła dawniej filo- zofia. Filozofowie też byli, obok fi- zyków i matematyków, jak wska- zuje na to Norbert Wiener, prekursorami tej nowej nauki: oni pierw- si, jak np. Leibnitz, Locke, Pascal zajmowali się problematyką cyber- netyczną. Nad analogią, zachodzącą między organizmami zwierzęcymi i maszyną, zastanawiał się już Karte- zjusz, a inny francuski filozof, La Mettrie, widział tego samego rodza- ju analogię między maszyną i czło- wiekiem.

Sama nazwa „cybernetyka” wy- wodzi się od greckiego wyrazu ku- bernetes — sternik, od którego po- chodzi między innymi słowo „guber- nator”. Warto też dodać, że słowa „cybernetyka” użył po raz pierwszy polski filozof XIX w. A. Cieszkow- ski.

Problematyka cybernetyczna wy- wodzi się z prób znajdowania ogól- nej reguły, czy też teorii porozu- miewania się między ludźmi. W cza- sach późniejszych okazało się, że porozumiewanie się następuje nie

tylko między ludźmi, ale m. in. rów- nież między człowiekiem i maszyną, człowiekiem i otoczeniem, między automatami, maszynami. Wszelkie porozumiewanie się opiera się na informacji. Jednakże ten, kto przekazuje określone informacje, musi je najpierw mieć. Stąd też każdy uk-ład cybernetyczny — a może nim być maszyna lub człowiek — wyposa- żony jest w tzw. receptory i efek- tory.

Receptory — to organy pobiera- jące informacje, efektory zaś — to organy, które informacje te reali- zują, przetwarzają je w różny spo- sób i przekazują. W języku cyberne- tycznym nazywa się to wejściem (input) i wyjściem (output). Szczególnie ważne dla cybernetyki jest tzw. sprzężenie zwrotne (feedback). Jest ono, podobnie jak porozumie- wanie się, oparte na informacji. Przy czym jest to połączenie infor- macji dwukierunkowe. Przykładem takiego sprzężenia może być cho- ciażby rozmowa między ludźmi. Wy- gląda to w ten sposób, że jeden z rozmówców słuchając tego, co mówi drugi, układa sobie natychmiast w myśl odpowiedź i udzielając jej drugiemu jest równocześnie infor- matorem tego drugiego, który z ko- lei robi tak samo, co pierwszy. Jes- zcze łatwiej podawać tego rodzaju przykłady z dziedziny techniki: samonaprowadzające się na cel rakie- ty, samowylączające się lodówki, różnego rodzaju automaty stosowa- ne w handlu i inne, to przykłady sprzężeń zwrotnych, które stanowią istotę tej nowej nauki, jaką jest cybernetyka. Wpływ środowiska na poszczególne jednostki i jednostek na otoczenie, kształtowanie się my- ślenia na podłożu mowy, dobór na- turalny dokonujący się na zasadzie dziedziczenia cech nabytych, to tak- że przykłady z innych sfer rzeczy- wistości, wskazujące na obecność omawianego prawa.

— Ale oprócz informacji i sprzężenia zwrotnego układy cybernetyczne, czyli dynamiczne układy samostere- gujące, samoregulujące się, odznaczają się jeszcze takimi cechami jak: te- oria gier i algorytmy. Teoria gier — to reguły zachowania się układu względem otoczenia na zasadzie tzw. strategii, tj. w ten sposób, że układ reaguje według pewnych prawidło- wości na nieoczekiwane okoliczności. Algorytmy zaś — to zachowanie się w nieokreślonych bliżej warunkach według pewnych praw logiki.

Najciekawszą sprawą, jeśli chodzi o cybernetykę, jest chyba to, że nie jest ona właściwie związana z żadną nauką. (Nie związana z żadną, zna- czy tu jednak związana ze wszyst- kimi). Jest nauką, dziś już tak o niej można powiedzieć, samodzielną i niesłychanie abstrakcyjną. W cy- bernetyce obojętne jest np., jakie są informacje i skąd pochodzą, jakie receptory i efektory, ważny jest schemat, a schemat jest jeden i ogólny: latnieje jakiś receptor i ja- kiś efektor, wejście i wyjście, prze- twarzanie informacji i samoregula-

cja. W konkretnych przypadkach różnie te elementy wyglądają, ale zasada jest jedna. Nie jest nawet ważne, czy układem cybernetycz- nym jest człowiek, maszyna lub społeczeństwo. Dlatego też cyberne- tyka jest, być może, najbardziej po- dobna do matematyki. Ze względu jednak na swą abstrakcyjność i uni- wersalność, również do filozofii (do teorii poznania).

Cybernetyczne potraktowanie pro- cesu poznania pozwala nam lepiej zrozumieć dwustronność oddziały- wania receptorów na efektory (wza- jemność tego oddziaływania). Wła- ściwie dla poznania receptory, to m. in. organy zmysłowe, właściwe e- fektory zaś, to różne, zachodzące pod wpływem przekazywanych przez centralny układ nerwowy im- pulsów, reakcje. Mogą to być reak- cje ruchowe, albo też wypowiedza- nie odpowiednich słów. Oddziaływa- nie jednokierunkowe było na ogół w tym procesie zrozumiałe: bodziec zewnętrzny oddziaływał na receptor, który z kolei przekazywał impulsy do ośrodka czuciowego (centralnego ośrodka nerwowego), skąd dalej im- puls ten przechodził do ośrodka mo- torycznego; docierał do efektorów i wywoływał odpowiednie działanie (zachowanie się).

Ten dobrze znany schemat nie po- kazywał sprawy bardzo istotnej, a mianowicie tego, że w procesie po- znania mamy nie tylko działanie re- ceptora na efektor, ale także działa- nie odwrotne: efektor na receptor.

Cybernetyka a nauki społeczne

Henryk Borowski

I co więcej, warunkiem właściwego działania efektorów jest nie tylko sprawność działania receptora, o- środka czuciowego i motorycznego, ale także sprawność receptora zależy od sprawności działania efektorów, ośrodka motorycznego, czuciowego i całego tego procesu w jedną i w drugą stronę. I tak np. warunkiem dobrego widzenia rzeczy jest nie tylko dobry wzrok, lecz odróżnia- nie barw, kształtów, oświetlenia obserwowanych przedmiotów.

Inną kwestią, która uzyskuje wię- kszą precyzję, gdy się ją rozpatru- je z punktu widzenia sprzężenia zwrotnego, jest zagadnienie kształ- towania się, tak, jak sprawa ta wy- gląda w świetle marksistowskiej an- tropologii, człowieka w dziejach. Sprawa ta wygląda tu inaczej niż u Darwina i Feuerbacha.

Człowiek z punktu widzenia filo- zofii marksistowskiej jest przede wszystkim istotą społeczną. Fakt ten nie wyklucza, rzecz oczywista, tego, że kształtował się on począt- kowo na gruncie ewolucji — czysto biologicznej. Ewolucja ta nie przesądza jednak jego istoty. Wszak ważniejsze od niej jest to, co uzy- skał rozwijając się pod wpływem społeczeństwa, którego jest twórcą. Mówiąc krótko, można wyrazić to w ten sposób, że człowiek tworzy kul- turę, społeczeństwo, cywilizację, swój własny świat, który z kolei tworzy jego. A jeszcze krócej, że po prostu tworzy sam siebie.

Mamy tu do czynienia z samo- kształceniem się człowieka jako i- stoty społecznej. Jego wyodrębnie- nie się ze świata zwierzęcego nastą- piło przede wszystkim dlatego, że nie był on bierny wobec otoczenia, wobec przyrody, że nie przystosował się do niej, lecz tworząc narzędzia — zmieniał ją, przystosowując ją do siebie, a zmieniając ją kształto- wał również sam siebie. Kształto- wał zarówno swoje cechy fizyczne (ręce, twarz, postawę pionową), jak i umysłowe: uczył się mówić, a po- tem myśleć. Mamy tu więc wzajem- ne, obustronne sprzężone oddziały- wanie człowieka na świat i świata, otoczenia, społeczeństwa na czło- wieka. Na tym polega jego społeczna istota. Dokonywało się to w dzie- jach właściwie niezależnie od jego wiedzy i woli. Sprzężenie zwrotne miało tu naturalny charakter. Wy- glądało podobnie, jak np. samoregu- lowanie się rzeki zloblejącej dla sie- bie koryto, brzozi i nawet coś w rodzaju nasyppów, lub też praca przy- dylwów i odpływów morskich twor- zących dla siebie brzeg.

W późniejszych czasach człowiek, przyswajając sobie te reguły, postę- pował podobnie jak przyroda i — co ciekawe — było to postępowanie logiczne. Starał się sam regulować swoje życie i wiedział, że czyni to świadomie. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że niczego nie u- zyskuje za darmo, że wszystko, co dla niego wartościowe, może uzy- skać za cenę wyrzeczeń. I tak też np. wyzbył się wolności, by stwo-

nym, proletariatu nie może, jak wiadomo, obejść się bez burżuazji (pra- codawców), a burżuazja bez prole- tariatu. Mamy tu więc do czynienia ze swego rodzaju samoregulacją. Samoregulacja nie może, oczywiście, wykluczać tutaj klasowej i rewolu- cyjnej świadomości. Wręcz przeciwnie, świadomość tę zakłada. Zakłó- cenie równowagi mogą wywołać re- wolucyjne nastroje mas, przejawia- jące się w strajkach, manifestacjach itp. Dlatego też burżuazja zaczyna z czasem zdawać sobie z tego sprawę i nie jest do przesydy zaintere- sowana np. w obniżaniu zarobków, co mogłoby, jak wiadomo, doprowa- dzić do osłabienia siły nabywczej ludności, a w konsekwencji do mniej lub bardziej groźnego w skut- kach kryzysu ekonomicznego.

Sprzężenie zwrotne jest podobne do zasady jedności i walki przeciw- wieństw. Zasada jedności przeciw- wieństw jest jednak treściwo bog- gatsza, sprzężenie zwrotne, aczkol- wiek ujmuje przedmiot bardziej precyzyjnie, jest tylko jej fragmen- tem. Konsekwencją walki przeciw- wieństw jest ruch i rozwój, konse- kwencją sprzężenia zwrotnego — ruch. Co się tyczy rozwoju, cy- bernetycy są dobrej myśli, wierzą w nieograniczone możliwości nowej metody. Układy cybernetyczne mo- gą, jak wiadomo, kształtować się „uczyci”, poprawiać samodzielnie swoje błędy.

Prawa cybernetyczne znajduje się coraz częściej w ekonomice i zarzą- dzeniu. Jest to jednak odrębny tem- at. Ich uniwersalność zaznacza się też w takich naukach jak etyka, estetyka i pedagogika. Jest rzeczą jasną, że inaczej nazywane tkwiły one tam zawsze, ale od dawna też przejawiały się wszędzie: w różnych sferach rzeczywistości, w różnych naukach.

Wiadomo np. że wychowanie dzie- ci w wygodzie i komforcie może mieć złe skutki. Dlaczego tak jest? Jak wyjaśnić ten problem ze stano- wiska cybernetyki, z punktu widze- nia samoregulacji? Wyjaśnić można w ten sposób, że nie zmuszając dziecka do wysiłku, komfortowe warunki nie kształtują jego charak- teru, jego woli. Zapewniając mu wygodne życie, wykluczają jego trud, jego pracę. W ten sposób za- chwiana zostaje równowaga między tym, co się bierze, a tym, co się daje, unicestwiona zostaje samo- dzielność, samoregulacja, a w kon- sekwencji osobowość, właściwa ze społecznego punktu widzenia. Czło- wiek nie może ukształtować się pra- widłowo, jeżeli tylko daje, albo je- żeli nauczył się tylko brać. Równowa- żąca, samoregulacja zatem to za- sady, zachowujące swój walor rów- nież w wychowaniu.

Dokończenie na str. 11

TU nie Holandia, proszę szanownego pana, i nie obora, więc one w tych drewniakach nie powinny chodzić. I ja im na to zwracam uwagę na każdym kroku. Albo te „szwedki”, portki szerokie u dołu i wąskie w tyłku, jak to wygląda! Tu nie Szwecja, tylko porządna bursa szkół ar-

lam, dō sypialni nagle w nocy wpadnę, do łazienki, kiedy się kąpia i sprawdzam, czy wszystko w porządku. Z długimi włosami u chłopców, a jakże, to już się prawie uporałem, tylko jeden po zwróconej uwadze ostrzygł się do gołej skóry, dla protestu, „na żarówkę”, jak oni to mówią. Inni mają teraz włosy w sam raz, nie za długie i nie za

nieć młodzieży, wtedy oni mówią, że telewizji nie pozwalają oglądać, bo te zebrania w sali telewizyjnej zwołuje. I jak z nimi rozmawiać! Ale po kolacji mają czas siedzieć na ławce przed internatem, kto wie, może oni się tam do siebie przytulają nawet, przecież nie mogą cały czas stać nad nimi i pilnować, żeby rozpusty nie było. Czasem muszę zabraniać

czego w moim internacie nie ma lub czego nie powinni widzieć, bo im to może w życiu przeszkodzić. No nie, w żadnym wypadku ja im nie będę przeszkadzał, tylko ta ciekawość nie jest zdrowa, uczeń ma się prowadzić przykładowo i uczyć, nie więcej. Oni nie będą dorosłych oceniać! Nie mają prawa! Taki zaprowadziłem porządek, uczniowie

palemki, coś ładnego, żywopłóci przystrzyżony, kwiatki, ogródek z pietruszką, szczyptorkiem i marchewką, ogórki i kapustę sami kłusimy, żeby wyżywić taniej wynosiła. Rodzicom, jak przyjadą, bardzo się to wszystko podoba. Żeby jeszcze nie te kłopoty z młodzieżą i jej rodzicami niesforne. Ze co, że najlepiej by było, gdyby w ogóle mło-



„Niech nie podglądają...”

Fot. Archiwum

tystycznych w Polsce, i niech mi się tu nie waleśają w jakichś cudacznych strojach, dopóki jestem kierownikiem! Sam chodzę w spodniach wąskich u dołu i moje dzieci chodzą w spodniach wąskich u dołu, bo tak je wychowałem, a tu się główniarzom zachciewa! I to czego, jakichś „szwedów”? Albo, panie, gorzej jeszcze, w krótkie majtki latem zaczęli się ubierać niektóre, pod spodem niech noszą, ale wierzchu! Całe uda widać, i to często u pańien dwudziestoletnich. Stanowczo zabroniłem. Muszę walczyć ze zbrojeniem się, bo choć u mnie młodzież przeważnie z tak zwanych dobrych rodzin, to są i biedniejsi, jedni mają, drudzy nie mają, demoralizacja powstaje. Ze same sobie szyją i na drutach robią, więc niewiele ich te stroje kosztują? Żeby tylko sobie szyły, każda dla siebie, ale niektóre to i koleżankom potrafią uszyć, kapitał zbijają, i to jest droga do zepsucia albo do rozpusty, a ja na ten temat dyskutować nie będę. Po co w takim razie maszyna do szycia w internacie? Skoro jej używały do niegodnych celów, zabroniłem szycia, ale one szyły nadal, pokątnie, więc wyjąłem bebenek z maszyny i teraz jest spokój raz na zawsze. Bez przerwy chciały szyć i na drutach robić, tu wchodzi w grę to modne ubieranie się. To nie jest alkohol, to nie są papierosy, ale to są robotki, z których demoralizacja się bierze. A na papierosy mam metodę niezawodną, oglądam uczniom ręce i wącham, nikt mnie nie oszuka. Tak, palenie papierosów się przede mną nie ukryje, jak zajdzie potrzeba, to im każę chuchać i też będę wąchał, człowiek po to ma oczy i nos, żeby prawdy dochodzić i zepsucie tropić. Przez zaskoczenie dzia-

krótkie, średnie. Z dziewczynami w ogóle większy kłopot, oj tak, z dziewczynami kłopot, włosy chcą nosić rozpuszczone, nie pozwalałam, ale kto je upilnuje na ulicy! Jak spotkam którąś w mieście z chłopcem pod rękę, to zaraz za nimi krzyczę: „po ślubie takie uściski!” I to jest dobra metoda wychowawcza, tak zawstydzić na ulicy przy obcych. Kiedy jakiś chłopak telefonuje do dziewczyny mieszkającej w internacie, to ja się wtedy go pytam, skąd pochodzi, jak się nazywa, po co dzwoni, dlaczego chce ją prosić do aparatu, co będzie z nią robił, a jak się już wszystkiego wypytam, to wtedy mówię: „proszę pana, tu nie wolno dzwonić” i odkładam słuchawkę. Nie dopuszczę do demoralizacji! Zaczęły pozować swoim kolegom z miasta do portretu twarzy, taka większa fotografia. A przecież całe to pozowanie jest, proszę pana, pierwszym krokiem do prostytucji. Modelkami chcą zostać, głowy puste, woda sodowa uderza! Ze te portrety potem wisiały na wystawie w szkole? Od tego zamęt się dziewczynom robi w głowach, zdaje im się, że są pepkim świata, tak, proszę pana, pepkim świata. Na przewrotne modelki wyrosną, na historyczki, a skromność to największa cnota człowieka, co one sobie wyobrażają, psują mi życie tylko! Wrażliwe mimozę udają, chorowite łstotki, wyrzuciłem takiej jednej lekarstwo przez okno i nazwałem rzecz po imieniu: histeria! Chorych udają rano, bo do szkoły nie chce im się iść. Tylko że ja w to nie wierzę, w te choroby, i swoje zdanie zawsze takim bumelantom powiem. I niech oni mi się nie tłumaczą, i tak wiem, co myślą i jacy są! Co dwa tygodnie robię zebrania, żeby regulamin internatu przypom-

jednej z drugą wychodzenia do miasta i siedzenia na ławce przed internatem, a jak kto taką po południu na ulicy spotka, to ma zapisywać jej nazwisko i mnie informować. Nie powiem, trafiają się dobre dzieci, które chcą mi pomagać i pomagają. Mówią mi, co się dzieje na piętze, co kto robi, o czym rozmawia i o której wraca. Dla takich, co mi pomagają, zawsze mam dobre słowo i potrafię zrozumieć ich potrzeby. Bo człowiek też ma serce czułe dla naszej młodzieży. Ze to jest donosicielstwo? Ja, proszę pana, nie toleruję donosicielstwa, oni mi z dobrej woli pomagają i ja z nimi w zgodzie żyję. Albo jak ktoś coś przeskrobie i ja się na niego gniewam, to po pewnym czasie proponuję, żeby mi pomógł, i wtedy bywa, że taki ktoś dla zmaszania winy zaczyna mi pomagać, muszę mu tylko co jakiś czas przypominać o jego winie i wtedy on pomaga jeszcze gorliwiej. Albo tak, albo tak, ale to nie jest żadne donosicielstwo, tylko wypróbowane metody wychowawcze. Bo ja muszę wiedzieć, co się w bursie dzieje, żeby rozpusty nie było, zepsucia i demoralizacji. Porządek musi być. Ze gdy palacz pijany leży na ławce przed internatem, to jest dopiero demoralizacja? Nie powiem, on sobie może czasem lubi podchmielić, ale pracownik jest doskonały, zrobi wszystko, naprawi, dzwignie węgiel, kapustę, kartofle, za darmo, i gdzie ja takiego robotnego chłopca teraz znajdę! Żeby się dziewczęta skarżyły na brak ciepłej wody, nie słyszałem. A już żeby palacz powiedział: „k... mać, myją te d... i myją”, to, niestety, mi się zupełnie w głowie pomieścić nie może, i w moim internacie taki wypadek nie miał miejsca. I niech ci główniarze nie podglądają tego,

moj żołnierze, a ja ich dowódca. Rozkazy dowódcy wypełnia się bez szemrania i wtedy ogólna zgoda panuje. Nikt mi nie powie, że w moim internacie nie ma porządku! Przeważnie sam sobie rady daję. Czasem tylko trzeba wezwać rodziców, wtedy wysyłam telegram, że syn nie chce włosów obciąć albo córka nosi szerokie spodnie, ale najczęściej wysyłam telegram, żeby rodzice przyjechali, bo są kłopoty wychowawcze z ich dzieckiem, a kiedy przyjadą, wówczas dokładnie opowiadam o tych włosach, tych spodniach i robotkach na drutach. I niech pan sobie wyobrazi wdzięczność ludzką! Rodzice mają do mnie pretensje, że o takie głupstwa muszą przyjeżdżać z daleka, czas niby tracić, bo oni pozwalają swoim dzieciom na długie włosy i szerokie spodnie, skoro większość młodzieży takie nasi. A jeden rodzic to mi nawet powiedział, że długie włosy, byle schludne, i szerokie spodnie nie stoją w sprzeczności z socjalistycznym systemem wychowawczym, natomiast stoi w sprzeczności z socjalistycznym systemem wychowawczym tolerowanie donosicielstwa, i żeby lepiej zadbać o naprawę pralki, która zepsuta stoi w umywalni już od pół roku. Ci rodzice wcale nie są lepsi niż ich dzieci, oni są tacy sami, proszę pana, tak jest, tacy sami, i to mają być te dobre rodziny. Rodzice są nieodpowiedzialni, a ich dzieci są za młode, żeby jakieś własne sądy wypowiadać. Sprawy, o które mam pretensje, nie podlegają dyskusji, ja jestem starym pedagogiem i wiem, czego młodzieży potrzeba, jeśli nie ma być obrazem zepsucia i demoralizacji. Ale i tak mój internat jest najpiękniejszy w mieście, czystutki, schludny, zadbane, sam pan widzi, tu rzeźby, tu

dzieci i rodziców nie było? No, nie przesadzajmy, internat jest, to muszą być i uczniowie oraz ich rodzice. A mnie chodzi tylko o porządek, oraz moralność, i dzieci, które się temu podporządkują, muszą się u mnie czuć jak u siebie w domu albo jeszcze lepiej. Była wprawdzie taka jedna, co ostatnio uciekła z internatu, poszła w Polskę z jakimś chłopakiem, nie była u matki, więc gdzie była? Po paru dniach ją znaleźli, ja zaraz po ucieczce dałem znać do oficera dyżurnego komendy miasta MO, więc ją znaleźli. Z internatu wywaliłem, ona w ogóle była nieciekawy typ, uczyła się średnio. Z takim to trzeba krótko. A jak mi się któryś z chłopaków z miasta chce do internatu dostać wieczorową porą, żeby koleżankę odwiedzić, to ja mam prawo milicję wezwać, że się ze mną szarpie i użera chuligan. I niedawno tak z jednym załatwiłem sprawę. Ale dlaczego tamta uciekła, to ja po prawdzie, proszę pana, mówię między nami, całkiem nie rozumiem. Przecież im wszystkim tu niczego nie brakuje i powinni mnie szanować bardziej niż ojców swoich. Ja nikogo nigdy nawet nie uderzyłem, czasem tylko człowiek syknie i dłoń się sama w pięść zwija, ale to jest wszystko, bo ja rozumiem młodzież i wiem, co to tolerancja wobec młodzieży, sam przecież byłem młody, choć to było dawno, więc niech pan sam powie, powinni mnie szanować bardziej niż ojców swoich czy nie?

Wszelka zbieżność faktów tu podanych z rzeczywistością jest przypadkowa. Tekst należy traktować jako fikcję literacką, bo nikt takiego monologu przez dziennikarzem nie wygłosił, co nie oznacza, że monolog ten jest w ogóle niemożliwy.

M. P.

1700 000 ZŁOTYCH W PREZENCIE OD SPOŁDZIELNI

Jerzy Dostatni

TAKIEGO prezentu chyba nikt jeszcze w Polsce nie otrzymał. Pod koniec zeszłego roku, kilka dni przed tradycyjnym Mikołajem, Powiatowa Spółdzielnia Mieszkaniowa w Krasnymstawie wypłaciła swoim członkom milion siedemset tysięcy złotych. Gotówką po 2, 3, po 7 tysięcy na jednego członka. Zaskoczenie — i radość — były ogromne.

Rzecz zaś polegała na tym, że po całkowitym rozliczeniu kosztów bu-

dowy osiedla przy ul. Naocznieckiego, okazało się, iż koszt budowy jednego metra kwadratowego zamiast 3 tys. zł, jak to było w kosztorysie w rzeczywistości wyniósł tylko 2511 zł. A ponieważ członkowie, wprowadzając się do swoich mieszkań, wpłacali raty według wyliczeń kosztorysu — powstała owa poważna nadpłata, którą zwrócono.

Jak wiemy z własnej praktyki, najczęściej przychodzi członkom dopłacać. Co więc stało się w Krasnymstawie — że było odwrotnie? Przeszukując spółdzielni niemal od samego początku p. Stanisław Rams jest nieco zakłopotany tym pytaniem.

— Pierwsza rzecz — powiada — to dokładny i codzienny nadzór nad

budową. Druga — gospodarność. Każda cegła, każdy kawałek drutu stanowi jakąś wartość. Czasem chodzi tylko o złotówkę, czasem o pięć, ale z tego powstają setki i tysiące. Potem odbiór budynku od wykonawcy. Im dokładniejszy odbiór — tym łatwiejsza i tańsza eksploatacja. No i natychmiastowe usuwanie wszystkich — nawet najdrobniejszych — nie tylko usterek. — co w okresie gwarancyjnym należy do wykonawcy — ale również uszkodzeń: tyneków, rynien, nawet malatury na klatkach schodowych. Nie naprawione natychmiast drobne uszkodzenia przekształca się szybko w dużą awarię — przeciekają sufity, odpadają tynki, pączą się futryny.

— To wszystko jednak — powątpiewam — chyba nie wystarczy na zaoszczędzenie ponad półtora miliona?

— Nie — potwierdza prezes — ale rzecz w tym, że mimo napływu, po przesunięciu na spółdzielczość głównego ciężaru budownictwa mieszkaniowego, tzw. przymusowych spółdzielców, potrafiliśmy nadal utrzymać prawdziwego ducha spółdzielczego, poczucie wspólnej więzi, wspólnego, samorządnego działania. Wyrzajem tego jest rzeczywistość, stała praca społeczna naszych członków. Jesteśmy przecież spółdzielnią małą, w zeszłym roku liczba naszych członków wzrosła z 600 do 762, w tym tylko 300 mieszkających. A może pan zobaczyć w sprawozdaniu, że zapracowali razem 3500 godzin.

— O ile wiem, spółdzielnia w Krasniku Fabrycznym za odgruzowanie placu budowy, sprzątanie oddawanych budynków oraz sadzenie drzew i krzewów zapłaciła przedsiębiorstwu gospodarki komunalnej około 300 tys. złotych. A tutaj?

— Nas wszystko razem kosztowało 25 tys. zł. Płaciliśmy tylko za transport, bo własnego nie posiadamy. Gruz i śmieci uprzątnęli spółdzielcy, nie tylko ci, którzy mieli dopiero zamieszkać. Oni też posadzili drzewa i krzewy. Czarną ziemię na trawniki braliśmy za darmo z innych powstających właśnie placów budowy — jeszcze nam dzięki-

wano za to, że tamtym pomagamy! Nie wszystkie, ale kilkaset drzewek iglastych i liściastych dostaliśmy bezpłatnie od leśników.

Kiedy z kolei dowiaduję się, że w roku ubiegłym spółdzielnia krasnostawska ani o grosz nie podniosła opłat za świadczenia, a mimo to na działalności eksploatacyjnej zaoszczędziła ponad 95 tys. zł, że mogłaby już spłacić z własnych środków kredyt bankowe za pięć kwartałów naprzód, że... — jestem już przekonany, iż PSM w Krasnymstawie zasłużyło trzy lata z rzędu okazywała się najlepsza (w kategorii średnich spółdzielni) w województwie, a za rok ubiegły także w kraju. To przyniosło jej kolejno trzy proporce, a właścicielstwo zdobyty na własność, a niedawno sztandar przechodził we wspól-zawodnictwie krajowym, wręczony uroczysto w obecności przedstawicieli władz centralnych, wojewódzkich i powiatowych.

Prawdę powiedziawszy, do regulaminu współzawodnictwa można mieć pewne zastrzeżenia. Pierwszy jego paragraf powiada, że przynajmniej do 100 punktów „za wykonanie planu inwestycyjnego w zakresie rzeźb, budowli i efektów w zakresie rzeczowych”. Niby słusznie — ale w praktyce okazuje się czasem, że spółdzielnia robi wszystko, co możliwe, aby ten plan zrealizować, lecz inne potrzeby powiatu lub miasta mogą zdecydować, że władze administracyjne poleca przedsiębior-

ZCZWARTKU na piątek była nowa wojna. Nas czterech, przebranych w mundury wroga, przedzierali się autem przez kolumny nieprzyjacielskich wojsk. Od kontroli strzegła nas magiczna siła białej litery „L” wymalowanej na karoserii samochodu. Ale dlonie nieprzyjacielskich żołdaków czepiały się naszego pojazdu. W końcu jednak ktoś nas rozszyfrował i wtedy na szosie wyrósł nagle grzyb jak po wybuchu bomby atomowej. Zręcznym manewrem wymyśliłszy faldziastą przeszkodę. Korzystając z zastony dymnej zjechałszy z szosy do jakiegoś otworu w grocie. Ale tam było wielu nieprzyjaciół. Na szczęście znajdowaliśmy wciąż nowe luki. Wreszcie wyszliśmy na łąkę, która była zupełnie czarna. Wojna skończyła się.

Teraz zostałem już sam. Tamtych trzech nagle zabrakło. Zobaczyłem Annę. Zbliżyła się do mnie zupełnie bezszelestnie. Kąciki jej ust drgały w półśmieszku. Na ramieniu niosła dzban pełen klejnotów i różnych starych monet.

— Jeśli chcesz, to weź sobie trochę. Z czego ty żyjesz, chudopacholku?

— Anno, przed chwilą była wojna. — Chcesz ten naszyjnik? Wart jest wiele milionów. Możesz sobie za niego urządzić życie. To lepsze niż twoje pisanie.

Na łąkę wybiegł malutki człowieczek. Dużym cyrklem zakreślił koło, a potem rysował linie. Ograniczał w ten sposób powierzchnię przeznaczoną dla Anny i dla mnie.

— Co pan tu robi? — zapytałem. — Pracuję.

— Pan też wrócił z wojny? — Niech pan tu podpisze. — Malutki człowieczek wyjął z aktówki plik papierów. Postawiłem zamaszty podpis.

— Życzę szczęścia młodej parze. Nie przeszkadzam. — Po tych słowach oddalił się.

Anna wykrzywiła usta. Spytała pogardliwym tonem:

— Co on powiedział? — Życzył nam szczęścia. On myślał, że my jesteśmy nowożeńcami. Był bardzo przyjaźnie ustosunkowany do nas.

— To pewnie jakiś wariat. Więc chcesz ten naszyjnik czy nie? Ja na twoim miejscu nie zastanawiałabym się. To kupa forsy.

Pełną drogą znów przyjechał ten sam malutki człowieczek. Jechał bardzo małym i śmiesznym samochodzikiem. Machał do nas ręką.

— Powiedz temu wariatowi, żeby dał nam spokój. — Anna była zdenerwowana.

— Ty jesteś pewna, że to wariat? — Teraz to sobie przypominam. To ten wariat, który uciekł z zakładu. Jest bardzo niebezpieczny.

— Przecież on nas pozdrawia. — Anna otarła łokciem pot ze swego mlecznego czoła. Mikroskopijne kropelki znikły z białego pola. Zupełnie jak gwiazdy z mlecznej drogi o wschodzie słońca.

— On tak zawsze. Najpierw wabi do siebie, a potem ich morduje.

— Zobacz, już nie ma nikogo. Jesteśmy znowu sami.

Dziewczyna zaczęła chichotać. — Zupełnie sami? — Zupełnie.

— Więc nikt nas teraz nie widzi? — Nikt.

I nagle w oczach Anny pojawił się strach. Patrzyła na mnie jak na potwora.

— Zawołaj tu prędko tego wariata. Ja nie chcę być z tobą sam na sam!

Pod moimi stopami wyrosło nagle wzgórze. Mogłem teraz z jego szczytu ogarnąć wzrokiem duży obszar.

— Słuchaj, tutaj nie ma nikogo. — Więc co chcesz mi powiedzieć?

Anna nagle przybrała agresywną postawę. — Kocham cię.

— Już mi to kiedyś mówiłeś. Nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Nie chcę żebyś mnie dotykał. Ja ciebie nie kocham.

Z piątku na sobotę nie było Anny. Ze wzgórza zeszła do mnie Maria. Tej dziewczyny nie znalazłem. Słońce rozświetlało różne odzienie złota po jej twarzy, rękach, piersiach. Miała bardzo smukłe nogi. Podobała mi się.

— Ty wczoraj byłeś na wojnie? — spytała.

— Skąd wiesz? — Poszukują cię. Dostaniesz order. W gazetach na pierwszej stronie są twoje fotografie.

Dziewczyna pokazała mi fotkę wyciętą z ilustrowanego tygodnika. Rzeczywiście, to byłem ja.

— Dlaczego na zdjęciu jesteś blondynem, choć w rzeczywistości masz rude włosy?

— Ojciec wybacza ci twój pochopny sąd. Nagle zebrało mi się na zwierzenia: — Mario, Pytałaś wczoraj, czy jest tu jakaś dziewczyna. Ma na imię Anna. Ona

Anna była w kostiumie. Błady kolor mej skóry prawie nie pasował do opalonego ciała dziewczyny.

— Nie odpowiadaj na moje pytanie. Pytam, czy znów byłeś na wojnie? — Anno, Same nieszczęścia. Ja chyba nigdy nie zdążyłem dowiedzieć się, co to jest prawdziwe szczęście.

— Jesteś taki zgorzkniały. Co się stało? — Zakochołem się nieszczęśliwie.

— Zdaje się, że to dla mnie jednak żadna nowość.

Wydawało mi się, że twarz dziewczyny nagle posmutniała. Zrobiło mi się jej żal. Zupełnie nie mogłem wytłumaczyć dlaczego.

Brunatne morze zaczęło falować. Brzegi fal odcinały się od tła najeżoną w rysunku białą wstęgą. Rozumiałem, że zbliża się niedziela.

Po kilkunastu godzinach znowu zrobiło się z czegoś na coś. Tym razem było to między niedziela i poniedziałkiem. Byłem teraz zupełnie sam. Obok brunatnego morza zamiast plaży rozciągała się łąka, na linii horyzontu majaczyło wzgórze, a niebo miało kształt ściany gigantycznej groty. Nie było słońca ani księżycy.

Po sklepieniu jeździł śmiesznym samochodzikiem malutki człowieczek. Już nie uśmiechał się do mnie, nie machał ręką.

W końcu z radością odkryłem, że powracam miłością do Anny. Tym razem wszystko powinno być dobrze. Swoim zasmuceniem dziewczyna robiła mi nadzieję. Może nagle zrozumiała wszystko i chciała mi to powiedzieć? Przecież szukała mnie, ale trafiła na nieodpowiednią chwilę. Wtedy po prostu odeszła.

Malutki człowieczek zatrzymał swój pojazd. Gestem kelnera zapraszał przybyłych gości.

Rozpoznałem Annę. Była ubrana w ślubny welon. Obok niej — wysoki młodzieniec w czarnym smokingu.

Podeszli do mnie. — Zapomniałam ci wczoraj powiedzieć. Właśnie teraz jest nasz ślub. Chcemy cię prosić na wesele.

Zacząłem biegać po zroszonej łące. Machałem rękami, aby odpędzić od siebie ten obraz.

I znikło kamienne niebo i morze brunatne, a pozostała łąka w pełnym słońcu, w które przemienił się malutki człowieczek. W pobliżu wyrosło wzgórze, z którego schodziła do mnie Maria. Znalazła się tak blisko mnie, że słyszałem szum płynącej w jej żyłach krwi. Wtedy powiedziała do mnie:

— Przemyslałam wszystko. Ja też cię kocham...

O moje sny nieszczęśliwe!

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

— Wiesz co? Ty chyba jesteś jednak nie-normalny. Przecież ja przybyłam tu do ciebie właśnie od nich. Żal mi ciebie. Dlatego tu jestem.

— Znasz takiego malutkiego człowieka z takim śmiesznym pojazdem? — To jest przecież mój ojciec. On mi opowiedział o tobie.

— I o Annie? — Nie. Mówił tylko o tobie. Chyba nie ma tu żadnej dziewczyny?

Zaczęła mi świtać nadzieja. Zaczynałem nabierać podejrzenia, że Maria wyleczy mnie z beznadziejnej miłości do Anny. Takie przecucia miewałem już wcześniej w związku z poznaniem innych dziewczyn. Zawsze sprawdzały się nieomylnie. Ale nigdy nie pamiętałem dokładnie momentu, w którym następował przełom. W każdym razie w Marii wyczułem istnienie tych samych fluidów, które zniewalały mnie skutecznie już wcześniej. Nie musiałem się nawet teraz chwycić kurczowo tej dziewczyny. Ba, to nawet było niewskazane. Podejmowanie takich prób nigdy nie kończyło się sukcesem.

Przywiązanie do Marii przyjdzie samo. Tak było zawsze. Nieświadomie i często wbrew sobie szukałem takiej dziewczyny. Ale przecież wiedziałem, że uczuciowo byłem zaangażowany w kim innym.

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

— Wiesz co? Ty chyba jesteś jednak nie-normalny. Przecież ja przybyłam tu do ciebie właśnie od nich. Żal mi ciebie. Dlatego tu jestem.

— Znasz takiego malutkiego człowieka z takim śmiesznym pojazdem? — To jest przecież mój ojciec. On mi opowiedział o tobie.

— I o Annie? — Nie. Mówił tylko o tobie. Chyba nie ma tu żadnej dziewczyny?

Zaczęła mi świtać nadzieja. Zaczynałem nabierać podejrzenia, że Maria wyleczy mnie z beznadziejnej miłości do Anny. Takie przecucia miewałem już wcześniej w związku z poznaniem innych dziewczyn. Zawsze sprawdzały się nieomylnie. Ale nigdy nie pamiętałem dokładnie momentu, w którym następował przełom. W każdym razie w Marii wyczułem istnienie tych samych fluidów, które zniewalały mnie skutecznie już wcześniej. Nie musiałem się nawet teraz chwycić kurczowo tej dziewczyny. Ba, to nawet było niewskazane. Podejmowanie takich prób nigdy nie kończyło się sukcesem.

Przywiązanie do Marii przyjdzie samo. Tak było zawsze. Nieświadomie i często wbrew sobie szukałem takiej dziewczyny. Ale przecież wiedziałem, że uczuciowo byłem zaangażowany w kim innym.

Z soboty na niedzielę znów przyszła Maria. Jeszcze miałem pewność, że bardziej ucieszyłaby mnie wizyta Anny.

Maria miała zupełnie nieokreślony głos. Nigdy nie mogłem zapamiętać jego brzmienia, a twarz tej dziewczyny nie wydawała mi się realna. Zupełnie jakby nie istniała. Ale kiedy przyszła do mnie, poznałem jej rysy i odkryłem na nowo ich wyjątkowość, która uniemożliwiała powtórzenie w wyobraźni.

— Ojciec wybacza ci twój pochopny sąd. Nagle zebrało mi się na zwierzenia: — Mario, Pytałaś wczoraj, czy jest tu jakaś dziewczyna. Ma na imię Anna. Ona

Anna była w kostiumie. Błady kolor mej skóry prawie nie pasował do opalonego ciała dziewczyny.

— Nie odpowiadaj na moje pytanie. Pytam, czy znów byłeś na wojnie? — Anno, Same nieszczęścia. Ja chyba nigdy nie zdążyłem dowiedzieć się, co to jest prawdziwe szczęście.

— Jesteś taki zgorzkniały. Co się stało? — Zakochołem się nieszczęśliwie.

— Zdaje się, że to dla mnie jednak żadna nowość.

Wydawało mi się, że twarz dziewczyny nagle posmutniała. Zrobiło mi się jej żal. Zupełnie nie mogłem wytłumaczyć dlaczego.

Brunatne morze zaczęło falować. Brzegi fal odcinały się od tła najeżoną w rysunku białą wstęgą. Rozumiałem, że zbliża się niedziela.

Po kilkunastu godzinach znowu zrobiło się z czegoś na coś. Tym razem było to między niedziela i poniedziałkiem. Byłem teraz zupełnie sam. Obok brunatnego morza zamiast plaży rozciągała się łąka, na linii horyzontu majaczyło wzgórze, a niebo miało kształt ściany gigantycznej groty. Nie było słońca ani księżycy.

Po sklepieniu jeździł śmiesznym samochodzikiem malutki człowieczek. Już nie uśmiechał się do mnie, nie machał ręką.

W końcu z radością odkryłem, że powracam miłością do Anny. Tym razem wszystko powinno być dobrze. Swoim zasmuceniem dziewczyna robiła mi nadzieję. Może nagle zrozumiała wszystko i chciała mi to powiedzieć? Przecież szukała mnie, ale trafiła na nieodpowiednią chwilę. Wtedy po prostu odeszła.

Malutki człowieczek zatrzymał swój pojazd. Gestem kelnera zapraszał przybyłych gości.

Rozpoznałem Annę. Była ubrana w ślubny welon. Obok niej — wysoki młodzieniec w czarnym smokingu.

Podeszli do mnie. — Zapomniałam ci wczoraj powiedzieć. Właśnie teraz jest nasz ślub. Chcemy cię prosić na wesele.

Zacząłem biegać po zroszonej łące. Machałem rękami, aby odpędzić od siebie ten obraz.

I znikło kamienne niebo i morze brunatne, a pozostała łąka w pełnym słońcu, w które przemienił się malutki człowieczek. W pobliżu wyrosło wzgórze, z którego schodziła do mnie Maria. Znalazła się tak blisko mnie, że słyszałem szum płynącej w jej żyłach krwi. Wtedy powiedziała do mnie:

— Przemyslałam wszystko. Ja też cię kocham...

O moje sny nieszczęśliwe!

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

— Wiesz co? Ty chyba jesteś jednak nie-normalny. Przecież ja przybyłam tu do ciebie właśnie od nich. Żal mi ciebie. Dlatego tu jestem.

— Znasz takiego malutkiego człowieka z takim śmiesznym pojazdem? — To jest przecież mój ojciec. On mi opowiedział o tobie.

— I o Annie? — Nie. Mówił tylko o tobie. Chyba nie ma tu żadnej dziewczyny?

Zaczęła mi świtać nadzieja. Zaczynałem nabierać podejrzenia, że Maria wyleczy mnie z beznadziejnej miłości do Anny. Takie przecucia miewałem już wcześniej w związku z poznaniem innych dziewczyn. Zawsze sprawdzały się nieomylnie. Ale nigdy nie pamiętałem dokładnie momentu, w którym następował przełom. W każdym razie w Marii wyczułem istnienie tych samych fluidów, które zniewalały mnie skutecznie już wcześniej. Nie musiałem się nawet teraz chwycić kurczowo tej dziewczyny. Ba, to nawet było niewskazane. Podejmowanie takich prób nigdy nie kończyło się sukcesem.

Przywiązanie do Marii przyjdzie samo. Tak było zawsze. Nieświadomie i często wbrew sobie szukałem takiej dziewczyny. Ale przecież wiedziałem, że uczuciowo byłem zaangażowany w kim innym.

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

— Wiesz co? Ty chyba jesteś jednak nie-normalny. Przecież ja przybyłam tu do ciebie właśnie od nich. Żal mi ciebie. Dlatego tu jestem.

— Znasz takiego malutkiego człowieka z takim śmiesznym pojazdem? — To jest przecież mój ojciec. On mi opowiedział o tobie.

— I o Annie? — Nie. Mówił tylko o tobie. Chyba nie ma tu żadnej dziewczyny?

Zaczęła mi świtać nadzieja. Zaczynałem nabierać podejrzenia, że Maria wyleczy mnie z beznadziejnej miłości do Anny. Takie przecucia miewałem już wcześniej w związku z poznaniem innych dziewczyn. Zawsze sprawdzały się nieomylnie. Ale nigdy nie pamiętałem dokładnie momentu, w którym następował przełom. W każdym razie w Marii wyczułem istnienie tych samych fluidów, które zniewalały mnie skutecznie już wcześniej. Nie musiałem się nawet teraz chwycić kurczowo tej dziewczyny. Ba, to nawet było niewskazane. Podejmowanie takich prób nigdy nie kończyło się sukcesem.

Przywiązanie do Marii przyjdzie samo. Tak było zawsze. Nieświadomie i często wbrew sobie szukałem takiej dziewczyny. Ale przecież wiedziałem, że uczuciowo byłem zaangażowany w kim innym.

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

Z soboty na niedzielę znów przyszła Maria. Jeszcze miałem pewność, że bardziej ucieszyłaby mnie wizyta Anny.

Maria miała zupełnie nieokreślony głos. Nigdy nie mogłem zapamiętać jego brzmienia, a twarz tej dziewczyny nie wydawała mi się realna. Zupełnie jakby nie istniała. Ale kiedy przyszła do mnie, poznałem jej rysy i odkryłem na nowo ich wyjątkowość, która uniemożliwiała powtórzenie w wyobraźni.

— Ojciec wybacza ci twój pochopny sąd. Nagle zebrało mi się na zwierzenia: — Mario, Pytałaś wczoraj, czy jest tu jakaś dziewczyna. Ma na imię Anna. Ona

Anna była w kostiumie. Błady kolor mej skóry prawie nie pasował do opalonego ciała dziewczyny.

— Nie odpowiadaj na moje pytanie. Pytam, czy znów byłeś na wojnie? — Anno, Same nieszczęścia. Ja chyba nigdy nie zdążyłem dowiedzieć się, co to jest prawdziwe szczęście.

— Jesteś taki zgorzkniały. Co się stało? — Zakochołem się nieszczęśliwie.

— Zdaje się, że to dla mnie jednak żadna nowość.

Wydawało mi się, że twarz dziewczyny nagle posmutniała. Zrobiło mi się jej żal. Zupełnie nie mogłem wytłumaczyć dlaczego.

Brunatne morze zaczęło falować. Brzegi fal odcinały się od tła najeżoną w rysunku białą wstęgą. Rozumiałem, że zbliża się niedziela.

Po kilkunastu godzinach znowu zrobiło się z czegoś na coś. Tym razem było to między niedziela i poniedziałkiem. Byłem teraz zupełnie sam. Obok brunatnego morza zamiast plaży rozciągała się łąka, na linii horyzontu majaczyło wzgórze, a niebo miało kształt ściany gigantycznej groty. Nie było słońca ani księżycy.

Po sklepieniu jeździł śmiesznym samochodzikiem malutki człowieczek. Już nie uśmiechał się do mnie, nie machał ręką.

W końcu z radością odkryłem, że powracam miłością do Anny. Tym razem wszystko powinno być dobrze. Swoim zasmuceniem dziewczyna robiła mi nadzieję. Może nagle zrozumiała wszystko i chciała mi to powiedzieć? Przecież szukała mnie, ale trafiła na nieodpowiednią chwilę. Wtedy po prostu odeszła.

Malutki człowieczek zatrzymał swój pojazd. Gestem kelnera zapraszał przybyłych gości.

Rozpoznałem Annę. Była ubrana w ślubny welon. Obok niej — wysoki młodzieniec w czarnym smokingu.

Podeszli do mnie. — Zapomniałam ci wczoraj powiedzieć. Właśnie teraz jest nasz ślub. Chcemy cię prosić na wesele.

Zacząłem biegać po zroszonej łące. Machałem rękami, aby odpędzić od siebie ten obraz.

I znikło kamienne niebo i morze brunatne, a pozostała łąka w pełnym słońcu, w które przemienił się malutki człowieczek. W pobliżu wyrosło wzgórze, z którego schodziła do mnie Maria. Znalazła się tak blisko mnie, że słyszałem szum płynącej w jej żyłach krwi. Wtedy powiedziała do mnie:

— Przemyslałam wszystko. Ja też cię kocham...

O moje sny nieszczęśliwe!

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

— Wiesz co? Ty chyba jesteś jednak nie-normalny. Przecież ja przybyłam tu do ciebie właśnie od nich. Żal mi ciebie. Dlatego tu jestem.

— Znasz takiego malutkiego człowieka z takim śmiesznym pojazdem? — To jest przecież mój ojciec. On mi opowiedział o tobie.

— I o Annie? — Nie. Mówił tylko o tobie. Chyba nie ma tu żadnej dziewczyny?

Zaczęła mi świtać nadzieja. Zaczynałem nabierać podejrzenia, że Maria wyleczy mnie z beznadziejnej miłości do Anny. Takie przecucia miewałem już wcześniej w związku z poznaniem innych dziewczyn. Zawsze sprawdzały się nieomylnie. Ale nigdy nie pamiętałem dokładnie momentu, w którym następował przełom. W każdym razie w Marii wyczułem istnienie tych samych fluidów, które zniewalały mnie skutecznie już wcześniej. Nie musiałem się nawet teraz chwycić kurczowo tej dziewczyny. Ba, to nawet było niewskazane. Podejmowanie takich prób nigdy nie kończyło się sukcesem.

Przywiązanie do Marii przyjdzie samo. Tak było zawsze. Nieświadomie i często wbrew sobie szukałem takiej dziewczyny. Ale przecież wiedziałem, że uczuciowo byłem zaangażowany w kim innym.

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.

— Wiesz co? Ty chyba jesteś jednak nie-normalny. Przecież ja przybyłam tu do ciebie właśnie od nich. Żal mi ciebie. Dlatego tu jestem.

— Znasz takiego malutkiego człowieka z takim śmiesznym pojazdem? — To jest przecież mój ojciec. On mi opowiedział o tobie.

— I o Annie? — Nie. Mówił tylko o tobie. Chyba nie ma tu żadnej dziewczyny?

Zaczęła mi świtać nadzieja. Zaczynałem nabierać podejrzenia, że Maria wyleczy mnie z beznadziejnej miłości do Anny. Takie przecucia miewałem już wcześniej w związku z poznaniem innych dziewczyn. Zawsze sprawdzały się nieomylnie. Ale nigdy nie pamiętałem dokładnie momentu, w którym następował przełom. W każdym razie w Marii wyczułem istnienie tych samych fluidów, które zniewalały mnie skutecznie już wcześniej. Nie musiałem się nawet teraz chwycić kurczowo tej dziewczyny. Ba, to nawet było niewskazane. Podejmowanie takich prób nigdy nie kończyło się sukcesem.

Przywiązanie do Marii przyjdzie samo. Tak było zawsze. Nieświadomie i często wbrew sobie szukałem takiej dziewczyny. Ale przecież wiedziałem, że uczuciowo byłem zaangażowany w kim innym.

— Słuchaj, chcę abyś wiedziała. Nie było nigdy żadnej wojny. Popatrz, jak jest wszędzie cudownie. Ale tam daleko jest zakład. Tam żyją bardzo nieszczęśliwi ludzie. Oni są pomyleni.

Maria roześmiała się. Jej białe zęby wytrysnęły nagle swą regularnością wśród obrzeża czerwonych jak krew warg.



Rys. E. Ingłot

stwu wykonawczemu zając się inną budową. Wystarczy kwartał, aby powstały zaległości nie dające się już nadrobić w danym roku kalendarzowym — i spółdzielnia nie ze swojej winy wędruje we współzawodnictwie na szary ogon, bo nawet maksimum punktów zdobytych w innych dziedzinach nie wystarczy na wyrównanie powstałych tutaj strat.

Drugie zastrzeżenie dotyczy niedostosowania regulaminu do możliwości zarówno zrzeszeń budowy domków jednorodzinnych jak i tych małych spółdzielni, które wprawdzie posiadają własne domy, ale właśnie nie prowadzą — czasem trwa to dwa, trzy lata — działalności inwestycyjnej. Nie dziwnego, że właśnie z tego powodu w roku ub. w naszym województwie nie przystąpiła do tego współzawodnictwa ani jedna taka spółdzielnia, ani jedno zrzeszenie. A jest tych jednostek razem kilkadziesiąt. Nie chodzi tylko o to, że żadna z nich nie zdobyła nagrody finansowej, związanej ze zwycięstwem we współzawodnictwie, ale jest to do zanotowania duża strata moralna, a także ekonomiczna. Czy wolno kogoś z góry wyeliminować ze współzawodnictwa? Czy nie można tak opracować regulaminu, aby odpowiadał możliwościom także zrzeszeń oraz małych spółdzielni, prowadzonych tylko społecznym wysiłkiem członków? Uwagi te kieruje pod adresem Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa

Mieszkaniewego w Warszawie oraz jego Oddziału w Lublinie, a konkretnie do prezesa Stanisława Kukuryki i dyrektora Kazimierza Poludnika.

Wracamy jednak do Krasnegostawu. Otóż tamtejsza spółdzielnia będzie chyba pierwszą w kraju, która zakończy przedterminowo realizację planu pięcioletniego. W końcu czerwca oddano do użytku, dwa mieszkające przed tzw. operatywnym terminem, blok mający 40 mieszkań. Wszystko wskazuje na to, że dwa ostatnie będą gotowe 30 września — i na tym kończy się plan pięcioletni. Prezes wprawdzie przyznaje, że nie był to plan zbyt wygórowany, ale wyprzedzenie pięcioletki aż o dziewięć kwartałów ma swoją wymowę.

Powstaje teraz pytanie — co dalej? Trzeba chyba zacząć od tego, że w planach wojewódzkich Krasnegostaw nie był swego czasu zaliczony do pięciu tzw. miast rozwojowych. Widocznie bardzo to ubożo krasnostawian i zawzięli się. Zwłaszcza, że sily roboczej na miejscu nie brakuje, że wielu młodych w pogoni za pracą przenosi się na inne krańce Polski, że ziemia jest dobra. Więc sobie tylko znanymi w szczegółach sposobami zaczęli zabiegać o inwestycje, które stałyby się czynnikiem miasto i powiatotwórczym. Najpierw udało się sprawa ze zlokalizowaniem tu dużych Zakładów Ceramicznych, produkujących dla pół Polski ceramikę sanitarną. Potem

przekonano warszawskie zakłady „Cora”, że kobiety nie mające pracy na miejscu, w Krasnymstawie, potrafią żyć różne rzeczy nie gorzej niż w innych miastach, a nawet lepiej — co potwierdziła praktyka.

Potem dzięki poważnej nadwyżce mleka zaczęto w rekordowym tempie budowę proskowni, która gdzieś za rok zacznie ten proszek produkować. Wznoszące wciąż w kraju i na rynkach zagranicznych zapotrzebowanie na porcelanę sanitarną spowodowało, że buduje się już drugi, podobnie duży jak pierwszy, zakład ceramiczny. Po wielu latach deliberacji i wstępnych decyzji zaczyna się już także budowę ultranowoczesnej cukrowni, która obsługiwać będzie również sąsiednie powiaty, eliminując chyba do końca coroczny przerzut tysięcy ton buraków do innych województw. „Cora” także zastanawia się poważnie nad rozbudową swojej krasnostawskiej filii.

Wszystko to oznacza dla spółdzielni mieszkaniowej gwałtowny wzrost liczby najpierw kandydatów, a potem członków. A w ogóle ludzi, którzy gdzieś będą musieli mieszkać. Do wszystkich tych zakładów trzeba będzie z różnych stron sprowadzić fachowców, którzy niewątpliwie jako podstawowy warunek podjęcia pracy postawią sprawę otrzymania mieszkania — i to nie w dalekiej perspektywie. Warunek zrozumiały i jeżeli spółdzielnia nie będzie go mogła spełnić — produk-

Plastycy z Debreczyna

W 1971 roku po raz pierwszy gościł w zbiorowej wystawie plastyków z węgierskiego Debreczyna, z którym to miastem Lublin od dwudziestu lat utrzymuje żywe kontakty. Pokazane prace okazały się „lekkostrawne”, dla każdego coś milego, w niezłym zapakowaniu — sprawności warsztatowej Węgrów odmówić nie można, tam już dzieci szkolne potrafią posługiwać się wieloma technikami plastycznymi, zestawem batików, ekspanowanymi na wiosnę w lubelskim Klubie MPiK, oszalałymi wrażliwością kolorystyczną młodych autorów, trafnością decyzji kompozycyjnych

i poziomem wykonania. Szeroki nurt amatorskiej plastyki, będący swoistą kontynuacją tradycyjnych zainteresowań artystycznych międzywojennej i wcześniejszej elity społecznej, wykształcił zjawisko powszechnego zrozumienia dla sztuki. Posiadanie obrazu w domu jest atrybutem wysokiej pozycji społecznej, lub przynajmniej aspiracji do bycia kimś więcej. Daleko nam do owego klimatu zbiorowego uznania sztuki za coś niesłychanie ważnego w procesie profilowania świadomości narodowej. Z okazji zbliżającego się 30-lecia Polski Ludowej i pięćdziesiątnej rocznicy utworzenia województwa lubelskiego ogłoszono właśnie konkurs plastyczny, którego efekty mają upamiętnić te fakty. Obejmuje on takie w końcu konfekcyjne gatunki plastyczne, jak plakat i plakietkę — bodaj rzeźbiarską. No nie, to chyba nie tak! Wzrost wydajności z hektara powinien, zdaje się, służyć nie tylko polepszeniu warunków konsumpcji „gębnej”, ale również — duchowej, mówiąc językiem romantyków. „Bizony” zdobędą wiosnę, lecz nie poszerzą ludzkiego świata doznań intelektualnych i emocjonalnych.

Obecnie po raz drugi mamy okazję przypatrzeć się twórczości plastyków debreczyńskich; jednego z nich, Topora Andrasa, znamy już z poprzedniej prezentacji, Szabo La-

szlo i Arpad Benyi wystawiają w Lublinie po raz pierwszy. Wszyscy trzej uczestniczyli będą we wrześniowym plenerze w Karłimierzu.

Obrazy Topora Andrasa ujawniają pewne pokrewieństwo z nową figuracją, postaci ludzka, „poskładana” z owalnych elementów, jest ich centralnym motywem, lecz w gruncie rzeczy nie uczestniczy w jakiejś „ludzkiej sytuacji”, co najwyżej symbolizuje określony status współczesnego człowieka, jego wyobcowanie i samotność w społeczeństwie. Ale to tylko domniemanie, albowiem pragnienie spotęgowania wyrazu płócien zapędza Andrasa w niebezpieczną uliczkę chaosu formalnego. Maluje szybko, szkicowo, szerokie plamy koloru przecina kreskami, błępią kompozycję ostrą bielą odkrytego gruntu — w tej gmatwaninie nitkuje sens ideowy obrazów, a sama struktura plastyczna traci znaczenie. Odnosi się wrażenie, że autor, zniecierpliwiony działaniem na powierzchni jednego obrazu, szuka satysfakcji na drugim polu. Kto wie, może właśnie ta pogoda za pełnią artystyczną, za dźwięczną formułą obrazową jest najbardziej intrygującym momentem twórczości Topora Andrasa?

Szabo Laszlo pokazał w BWA kilkadziesiąt grafik. Co za precyzją warsztatową, dbałość o bogactwo faktury, o dekoracyjną urodę dzieła! Od tych gęszczy linii, kropek, krótkich

urywanych na granicy rozległych czerni przyozdobionych stylizowanymi liściami, czy innym motywem florystycznym, usięć od tego akademickiego, niestety, inwentarza oczy boją. Jedno nie ulega wątpliwości: grafiki Szabo Laszlo zapraszają się do mieszkania, gwarantują kulturalny wystrój plastyczny każdego kameralnego wnętrza, gdzie zechcą się poprawić, nikogo nie zapuszczając, nie zachęcając do męczącej kontemplacji. Chyba i taka plastyka jest potrzebna.

Arpad Benyi jest malarzem, lecz wystąpił z grafiką. Niektóre jego plansze, te najlepsze, to jakby dokumentalne zdjęcia starych murów, pokrytych inskrypcjami, rytami starożytnych statków... Refleksja nad historią cywilizacji, własne, nieco przyprawione do wcielenia wyobrażenie o „dawnych czasach”

W czasie ostatnich stu lat ośrodkami sztuki węgierskiej były takie miejscowości, jak Szolnok, Vasarnely, Nagybanya i Szentendre, wyprzedzające znaczeniem nawet Budapeszt. Dział życie artystyczne koncentruje się w Pecs, Villany (międzynarodowe plenery rzeźbiarskie), Miskolc (znane wystawy grafiki), a także w dwóch prowincjonalnych miastach, posiadających bardzo ruchliwe muzea: Szabaria Muzeum w Szombathely i Králya Istvan Muzeum w Szekesfehervar.

IJK

Na tropie Bursztynowej Komnaty czy... węża morskiego?

Sprawa Bursztynowej Komnaty, unikalnego dzieła sztuki, które przez wiele lat zdobiło muzeum w Carskim Siole, stała się w ostatnich dniach znów głośna. Prasa krajowa publikuje relacje z Wyprawy pletwonurków z Akademickiego Klubu Politechniki Gdańskiej „Rekin” na akwen Bałtyku zwany „Lawicą Słupską”, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa spoczywa wrak hitlerowskiego transportowca „Wilhelm Gustloff”.

Oficjalne wiadomości mówią, że „Wilhelm Gustloff” opuścił port gdyński 31 stycznia 1945 roku. Jego rejs przewały torpedy radzieckiej łodzi podwodnej „S-13”. Statek poszedł na dno na wysokości Ustki, ra tzw. „Lawicy Słupskiej”.

Odnalazł się człowiek, który przed 28 laty ładował w porcie gdyńskim na statek skrzynie, w których według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdował się bursztynowy skarb.

NAZYWA się Augustyn Bendik, urodził się w Rumunii, pracował przez wiele lat w Gdyni jako mechanik, podczas okupacji zaś (od 1942 r. do wyzwolenia) jako mechanik torpedowy w Kriessmarine Arsenal w Gdyni (obok ryżowni). Po wojnie znalazł się w Czuchowie, a od lat pięćdziesiątych w Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego w Słupsku. Jest renciście i mieszka w Słupsku przy ul. Szkolnej. Oto jego relacja:

— Wiosną 1944 roku znalazłem się w gdyńskim szpitalu z powodu dolegliwości wątroby. Na sąsiednim łóżku leżał podoficer marynarki niemieckiej — starszy bosman Erich Bittner ze statku „Wilhelm Gustloff”. Znałem doskonale język niemiecki, a od sierpnia zbliżał ludzi, przeto nawiązała się między nami znajomość. Z początku trochę sztywna, ale im dłużej trwała znajomość, tym bardziej rozmowa była szczera. Bittner pochodził z Lotaryngii. Jego rodzina znalazła się w opozycji wobec Hitlera. Starszy brat zginął w obozie koncentracyjnym, ojciec był na każdym kroku szantażowany.

Znajomość zawarta w szpitalu utrzymywała się. Kilka razy Erich Bittner składał wizyty w domu Bendików. Doszło do tego, że przyrzekł — jeśli przeżyje wojnę — odwiedzi Augustyna Bendika. Do tej wizyty nie doszło, bo chyba, jak wszyscy z załogi i pasażerów „Wilhelma Gustloffa”, zginął ostatniego dnia stycznia 1945 roku...

— Stał ten olbrzym na gdyńskim nadbrzeżu od kilku dni (tu relacja jest nieco inna niż Kazimierza Bohuszewicza, taksówkarza gdyńskiego, który twierdził, że statek stał kilka tygodni). 23 stycznia odwiedził mnie w domu starszy bosman, Erich Bittner. Mówił, że przyplłynęli z Klajpedy, gdzie miał być na statek załadowany jakiś ładunek, o którym się mówiło między marynarzami „królewska komnata”. Do ładunku jednak nie doszło, ponieważ front zbliżał się bardzo szybko. Kolejnym portem miał być Królewiec, ale i tu nie zawinił, bowiem otrzymali rozkaz szybkiej żeglugi do Gdańska lub Gdyni.

Trzeciego dnia od wizyty Ericha Augustyn Bendik poszedł jak zwykle do pracy.

— Rano brygadziści Weski zapowiedzieli, że dwudziestu z nas pomoże w ładunku „Wilhelma Gustloffa”. Nie wiedzieliśmy, co to będzie za praca, co będziemy ładowali. Około godziny 14-ej poszliśmy, prowadzeni przez brygadziście, na nadbrzeże, gdzie cumowały transportowce. Było nas czterech Polaków, resztę grupy uzupełniali Holendrzy, Czesi i Jugosłowianie. Obok statku kręciło się kilkuset wyższych oficerów niemieckich z różnych formacji. Po pewnym czasie podjechały 24 samochody wojskowe, odkryte plankami. Oficer Wermachtu w stopniu majora wskazał, że mamy ładować skrzynie, których było kil-

kadziesiąt. Drewniane, o wymiarach około 2 na 1 metr, okute blachą. Nie były specjalnie ciężkie, ale co chwilę eskortujący żołnierze i esesmani wrzeszczyli do nas, żeby ostrożnie. Siedziłem kierunek dźwigu. Skrzynie ładowano na środkowy pokład, na wysokości 4-5 piętra „Wilhelma Gustloffa”. Koledzy po cichu wymieniali pytania: co też się może w nich znajdować? Ja byłem pewny, po rozmowie ze starszym bosmanem Bittnerem, że to właśnie jest owa „królewska komnata”, ale nie zdradzałem się z tym, zwłaszcza, że zarówno brygadziści Weski, jak też eskortujący żołnierze co chwilę przypominali, że za rozmowy na temat ładunku grozi śmierć.

Około godziny 17-ej ładunek był zakończony. Na trapię statku pojawił się Bittner i zaprosił mnie do swej kajuty. Wizyta nie trwała dłużej niż 10 minut. Bosman wiedział, że lada chwila statek odpłynie. Powiedział mi, że najchętniej całą tę „faszystowską śmietankę” posłałby na dno Bałtyku”. Kiedy już wychodziłem z kabiny, oświadczył mi jeszcze, że ładunek ma być przewieziony jedynie na morze, a tam



Augustyn Bendik

Fot. I. Wojtkiewicz

przeładowany na inny statek. Natomiast „Wilhelm Gustloff” miał płynąć do Hamburga.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się od Weskiego, że statek został zatopiony na północny zachód od Helu, po storpedowaniu przez radziecką łódź podwodną. Przyszło mi do głowy, że może to właśnie Bittner podłożył bombę?

Tyle Augustyn Bendik, jeden z tych, którzy ładowali tajemnicze skrzynie.

Marian Fijolek

OD REDAKCJI: Jak wynika z ostatnich doniesień, wyprawa pletwonurków zakończyła się przed czasem. Panuje ogólny sceptycyzm co do tego, aby penetracja statku „Wilhelm Gustloff” mogła przyczynić się do wyjaśnienia tajemnicy Bursztynowej Komnaty. Niemniej sama relacja Augustyna Bendika jest dość interesująca.

MAŁA ANKIETA

Co Pan czytał ostatnio?

Z takim pytaniem zwróciliśmy się do kilkunastu osób. Nasza mała wakacyjna ankieta wykazała — jak się należało tego spodziewać — że i w czasie letnich upałów trudno się obejść bez książki, bez czasopism.

Władysław Wójcik, dyrektor Domu Książki w Lublinie: — Nie, na urlopie jeszcze nie byłem. Co przeczytałem ostatnio? Pisma urzędowe. A moim obowiązkiem jest wszystko przeczytać. Dziennie przeglądam około 40 tytułów. Trzeba wiedzieć, czym się handluje. Niestety, tych książek które mają szczególne powodzenie wśród czytelników, nasze województwo zbyt wiele nie otrzymuje. Zainteresowała mnie pozycja Andrzeja Dobrzyńskiego pt. „Śmierć na drodze”. Tę książkę powinien przeczytać każdy kierowca. Ale i pisać również.

Tadeusz Gwardak, kierownik lubelskiego oddziału CAF: — Przeczytałem właśnie „Trzy barwy czasu” Winogradowa. Jestem pod wrażeniem tej książki.

Czesław Wójcik, dyrektor Lubgálu: — Na urlopie czytałem głównie czasopisma, a więc „Politykę”, „Życie Gospodarcze”, „Forum”, „Kamień” również. Oczywiście nie wszystkie artykuły, uważam zresztą, że każdy człowiek wybiera w piśmie to, co go najbardziej interesuje. Gdzie spędziłem urlop? W Wolicy Gołębiowskiej nad Wisłą. Mój główny relaks to wędkarstwo.

Marek Kusiba, student polonistyki: — Byłem w Alpach na obozie narciarskim Almaturu i muszę przyznać uczciwie, że przez trzy tygodnie nie czytałem ani polskich książek ani polskiej prasy. Dopiero lecąc z Paryża do Warszawy dosłownie dorwałem się do „Trybuny Ludu”, która, oczywiście, była w samolocie, teraz odrabiam zaległości: czytam aktualnie „Awans” Redlibskiej. Wrażenia z Francji? Można na ten temat wiele mówić, ale wcale nie jest tam tak dobrze, jak sądzą niektórzy. Nie nie kupiłem, woląłem odbyć atrakcyjne wy-

cieczki, a tam nic nie jest za darmo.

Tadeusz Kącki, kurator lubelskiego okręgu szkolnego: — Przeczytałem „Życie Flaminga” Maurois'a i „Dobrego żołnierza”. Zaraz, zaraz, zapomniałem nazwiska autora. Byłem na urlopie w Niechorzu i tam, oczywiście, kupowałem i czytałem, co tylko mogłem dostać z czasopism.

Wiktor Chojnacki, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR: — W Kolobrzegu, gdzie spędziłem tegoroczny urlop, z dużym zainteresowaniem przeczytałem „Linie” Jerzego Wawrzaka. Sądzę, że książkę tę należy jak najszybciej polecić. Wiele interesujących problemów, wziętych bezpośrednio z życia. Nie dziwnego: autor pracował w hutnictwie, w szkolnictwie zawodowym, a ostatnio jest dyrektorem Państwowego Ośrodka Maszynowego. Co? Naczelny redaktorem łódzkiej „Odgłosów”? Tego nie wiedziałem...

Tadeusz Kwaśniewski, z-ca redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”: — Co czytałem? Swoją własną gazetę. A dlaczego pytasz? No, jeśli do druku, to trzeba poważnie. „Wielką koalicję” Kowalskiego. A w ogóle lubię lekturę związaną tematycznie z drugą wojną światową. Może masz jakieś nowości?

Janina Chmiel, pielęgniarka: — Wreszcie przeczytałam słynnego „Ulissesa”. Ciężka rzecz, ale dobra. Poza tym „Wyczerpać morze” Dobraczyńskiego. Sporo czytam. Co? Pan chce to drukować? A po co?

Ewa Frać, aktorka Operetki Lubelskiej: — W czasie urlopu skrecilałam nogę, a poza tym pogoda była nieszczerzólna, stąd czas sprzyjający na lekturę. Z poważniejszych pozycji zapoznałam się z „Rozważania-

mi o Rzeczypospolitej” Jana Szczepańskiego. Oczywiście były i kryminały, ale szybko je się czyta i jeszcze szybciej zapomina.

Halina Grudzińska, sędzia: — Siedzę w epoce napoleońskiej. Właśnie „zaliczyłam” „Koniec świata szwoleżerów” Brandysa. A ponadto „Przypadki generała wiceprezesa” Zielińskiego. I jeszcze — to już inna tematyka — „Zbłąkaną gwiazdę” E. Kossak.

Jerzy Kornacki, hydraulik: — Panie, kiedy ja mam czas czytać, kiedy fachowców ciągle brakuje? „Sztandar Ludu”, „Kurierek” przeczy się, czemu nie. W domu to telewizja wiele czasu zabiera.

Kazimierz Bierzak, tokarz: — Ja, panie, mam psa. I teraz złapałem taką książkę: „Psy”, autora nie pamiętam. Są tam zdjęcia, opisy różnych ras i trochę napisane o tym, jak należy psy ćwiczyć. Sam się uczyć i uczyć mego psa. Małe postępy już są, ale co będzie dalej, to nie wiem.

Zdzisław Kozak, elektryk: — To będzie wydrukowane? Gdzie? W „Kamieniu”? Panie, ja widzę to piśmo w kiosku, ale jeszcze go nigdy w ręku nie miałem. Już pan wie, czego nie czytam, przynajmniej dotąd nie czytałem. Złapię czasem „Przekrój”, „Przyjaciółkę”, ale to raczej żona, a ja tak przy żonie strony przereczę. Biblioteki żadnej nie mam. Małe, ciasne mieszkanie, gdzie ja bym w nim książki pomieścił? Dzieciaki czasem coś do domu przyniosą. Owszem, czytam, ale tytułów, żeby mnie kto zabił, to nie pamiętam. A na urlop to jadę z wędką. Panie, jakiego ja szczupaka raz złapałem!

Irena Bielecka, uczennica: — Co czytam? Lekturę szkolną. I jeszcze coś, ale panu nie powiem, bo jak pani w szkole się dowie, to dopiero będzie kłops.

Czytelnik czeka na wnioski? Niech czeka!

ROM

POTYCZKI JĘZYKOWE

Z lektury nałęczowskiej

NIE mam tu pod ręką notesu, w którym zapisuję błędy językowe, dostrzeżone w książkach i czasopismach, i którym się posługuję w swych „Potyczkach”. Ale przecież czytam tu sporo i w bieżącej lekturze też można znaleźć poważne nierezy uchybienia w tej dziedzinie. Nie stety, nigdy ich nie zabrałem.

Co jak co, ale wyrażenie „jakby nie było” powinno być po prostu karalne. Tyle się już od wielu lat pisało, że to barbarzyński rusycyzm — kak by ni było, i jakoś niewiele to pomaga. Wielu nie może sobie przyswoić polskiego „bądź co bądź” czy „jakkolwiek by było”.

usterek, które powinna była w maszynopisie poprawić: „Lekarz i szpital stają się potrzebne” (zam. potrzebni), „Boję się spotkać te oczy” (zam. tych oczu), „Doktor przedstawia sobą typ lekarza” (przedstawiając soboju, po polsku wystarczy — przedstawia), podobnie: „Przedstawiał sobą duszę słowiańską”, „Oczekiwali na jadących tym pociągami” (na — zbytcznie).

W doskonałej książce o życiu znakomitego liryka rosyjskiego znalazłem dwa fatalne rusycyzmy: „Sergiusz zeskokczył z estrady, ja jemu na spotkanie” (ja jemu na wstreczu, powinno być: ja na jego spotkanie), i drugi — „Później może pisać na adres mojej księgarni” (zam. pod adresem).

„Wszyscy postarali się w ten dzień nie pracować, tylko spotykać pierwszą kobietę” (zam. witać). „Był 3 listopada”. „Ze też chce się starszemu państwu odważyć takie coś” (zam. starszym państwu), „Oczekiwali na jadących tym pociągami” (zam. oczekiwali jadących, albo czekali

na jadących). Takie niedopatrzienia kalają świetną książkę świętego pisarza. Redaktorzy książek są niezbedni.

W n-rze 25 „Kierunków” w artykule „Film jest nagi” czytamy: „Mężowie są najlepszymi przyjaciółkami” (sic! to już horrendalne), a o filmie „Król, dama, walet” ktoś napisał, że „on leci w dwu reprezentacyjnych kinach”. Przypomina się często słyszane na peronie radosne: „Leci!” pasażerów na widok zbliżającego się pociągu!

W związku z lekturą pewnego maszynopisu (interesującej) zresztą powieści chciałbym zwrócić uwagę na dwa powtarzające się w nim często błędy: niewłaściwe używanie czasownika — posiadać i rzeczownika — ilość. Przypomnijmy więc sobie: posiada a się majątek, fortunę, dom, posesję, działkę itd. — słowem to, co ma wartość materialną i to dużą (nie można np. „posiadać” złotych). Można też powiedzieć, że ma się majątek, fortunę itd. Ale rozum, zdolności, humor, charakter i innych wartości duchowych nie można „posiadać” — tylko mieć. A liczbą określa się to, co można policzyć (zwyčajnie: jeden, dwa, trzy itd.) — liczbę mieszkańców, pasażerów, sportowców, obrazów, pokoiów, książek itd. Ale mówi się ilością pieprzu, cukru, soli, ziemniaków, buraków, owsa — w odniesieniu do tego, co można zmierzyć, zważyć itd.

Caius



Z życia... wyższych sfer: księżniczka Monaco, (tak, tak, córka Grace Kelly) Karolina, nie boi się dzikich zwierząt. A swoją drogą jak ten czas leci...

Szyrogram literacki nr 18

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce literki przynieść do diagramu odpowiadające im litery. Pojedyncze czarne kratki są przerwami między słowami, podwójnie oznaczają koniec wiersza. Rozwiązaniem szyrogramu będzie początek wiersza o miejsce, któremu poświęcony jest wierszeń, wiersza napisanego przez poetę, który w 1943 roku został zamordowany przez hitlerowców.

Wyrazy pomocnicze

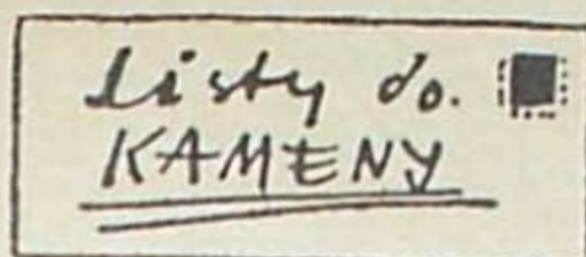
- 84, 95, 20, 73, 33, 50 — publiczny popis artysty
1, 22, 74, 94, 39 — powinna równowagę poppy
89, 19, 74, 49, 23, 56, 43, 83 — forteca
42, 13, 17, 24 — wynik dodawania
49, 69, 93, 27, 99 — powieść W. Wasilewskiej
91, 3, 7, 28 — jeden z muzyków
29, 2, 6, 46, 82, 77, 193, 80 — pilnuje, byś się nie utopił
8, 80, 69 — wawóz
102, 18, 58, 79, 67, 60, 47, 81, 38, 30 — zabieg operacyjny na żywym organizmie w celach doświadczalnych
4, 62, 44, 55 — rada ministrów
29, 22, 87, 10, 13, 70 — pora roku
31, 38, 51, 88, 87, 34, 28 — uprawa winnej latorośli
33, 41, 99, 72 — metal do lutowania
71, 65, 63, 68, 48, 5 — rzeka Lubelszczyzny
14, 78, 21, 101, 52, 45, 86 — forma do odlewania
11, 89, 160, 16, 73, 64, 94 — imię autora cytowanego tekstu (imieniny miał w październiku)
54, 97, 39, 92, 9, 37, 12, 35, 81 — jego nazwisko.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33
34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44
45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55
56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66
67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77
78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88
89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99
100	101	102	103	104	105	106	107	108	109	110

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-850 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyrogramu z Nr 16 był początek wiersza „W drodze na Miedzianie” Tadeusza Bocheńskiego: „Morze wierzchoł, jak spojrzeć dokoła; u stóp moich kotlina głęboka

i zielona toń Morskiego Oka, co od turni wzrok ku sobie wola”. Za prawidłowe rozwiązanie szyrogramu Nr 16 bony książkowe w wys. 40 zł wylosowali:
Irena Sowińska 20-106 Lublin, ul. Przemysłowa 25 m. 4, Anna Szymańska, 85-324 Bydgoszcz, ul. Komarowa 28/9, Halgorzata Okularczyk, 61-377 Poznań, Ośledle Manifestu Lipcowego 37/8, Danuta Cholewińska, 20-989 Lublin, Kr. Leszczyńskiego 11 (Sp-nia INLEK).



„NOTY” O AUTOBUSACH

W związku z notatką w rubryce „Noty i notki”, która ukazała się w numerze 15 (37) „Kamenu”, Prezydium MRN w Lublinie wyjaśnia, co następuje:

Z uwagi na istniejące trudności w zaspokojeniu potrzeb komunikacyjnych w Lublinie, wynikające z braku dostatecznej ilości taboru, oraz niezabezpieczenie przez MPK każdego dnia planowanej ilości pjazdów, jak również ze względu na stale zwiększające zapotrzebowanie ludności miasta na usługi komunikacyjne — Prezydium WRN poleciło przewodniczącemu Prezydium MRN wydać zarządzenie dyrekcyi MPK, zabraniające wykorzystywania taboru autobusowego do innych celów (wycieczki itp.), niż zaciągniętych z przeznaczeniem pasażerów w mieście.

Zarządzenie dopuszczało użycie autobusów do innych celów tylko w wyjątkowych przypadkach, za zgodą przewodniczącego Prezydium MRN. Zarządzenie, o którym mowa, obowiązuje od paru lat, ale wciąż jest aktualne, gdyż miasto w dalszym ciągu odczuwa poważny brak taboru i usługi komunikacyjne, świadczące przez MPK, nie zaspokajają potrzeb społeczeństwa Lublina.

Prezydium MRN zgadza się z tym, że tryb i sposób użytkowania zgodny na użycie autobusów przez MPK jest uciążliwy i dlatego zostanie on zmieniony. Prezydium MRN upoważni dyrektora MPK do wynajmowania autobusów na wycieczki do niedzieli i świąt. Natomiast na terminy autobusów w dni powszednie bezwzględnie będzie wydawał kierownik Wydziału GKIM — po telefonicznym uzgodnieniu z dyrektorem MPK. Ten nowy tryb załatwiania zostanie wprowadzony od dnia 1 września br.

Sekretarz Prezydium MRN
mgr Jana Chatała

LAMENT WZASOWY

Uruchomiony po wojnie Fundusz Wczasów Pracowniczych okazał się dobrodziejstwem dla świata pracy. Teraz

Jednak, po dwudziestu i kilku latach działalności FWP, instytucja ta znalazła się pod przeważającym krytyki społecznej. Pomijając sprawy obsługi wczasowiczów, pozostawiającą niejednokrotnie wiele do życzenia, ludzie wybrzydają na niski standard domów wczasowych, brak podstawowych urządzeń, takich, jak łazienki w pokojach etc. I ludzie mają rację, bo przez wiele lat FWP niewiele zainwestował w rozbudowę swojej bazy „hotelowej”, złożonej w większości ze starych pensjonatów, wili i przypadkowo uzyskanych domów. W Międzyzdrojach domy wczasowe to wystawione obiekty, jako tako przystosowane do wiadomych potrzeb, które tylko na oko spracują przywole utożsamienie. Niemal cały „wczasowy” Augustów domaga się kapitalnych remontów, które w gruncie rzeczy mogą doraźnie polepszyć sytuację. Jak to powiedział jeden z działaczy partyjnych województwa olsztyńskiego, „Augustów wali się”. W podobnej sytuacji znajdują się obiekty wczasowe (i uzdrowiskowe) na Dolnym Śląsku.

FWP nie ma, podobno, odpowiednio mocnych środków inwestycyjnych na działalność budowlaną, więc przyszłość zapowiada się całkiem ponuro. Tym bardziej, że nasze wymagania co do warunków wypoczynku rosną z roku na rok, czemu nie można się dziwić i z czym należy się liczyć. Zakładowe domy wczasowe, które zarzucają o niebo przewyższają standardem obiekty FWP, są miejscem wspaniałego wypoczynku, a dlatego, o tym wszyscy doskonale wiemy; pracownicy na letnisku honorują, chcą nie chcą, te wszystkie zalety służbowe, które obowiązują w fabryce czy instytucji. A to dożył męczy.

Wydaje się, że nadszedł czas na zastanowienie się nad przyszłością FWP.

Jan Kurzawa
Zamość

POTYCZKI JĘZYKOWE

Chciałbym pogratulować redakcji wprowadzenia rubryki „Potyczki językowe”, redagowanej przez Caiusa. Każda taka próba obrony czystości języka polskiego powinna zresztą spotkać się z życzliwym przyjęciem, albowiem to, co wybrabia nasze społeczeństwo z językiem przechodzi granice przyzwyczajenia. Proszę posłuchać rozmowy młodych ludzi, ręczę, że dorosły człowiek, wykształcony w jakiejś takiej szkole humanistycznego myślenia, zrozumie z

Cybernetyka a nauki społeczne

Dokończenie ze str. 7

Samoregulacja ma też duże znaczenie w kształtowaniu się moralności. Jeżeli ktoś komuś zrobi krzywdę, to naturalną konsekwencją jest (powinna być) ujemna ocena. Ujemna ocena tego czynu ma: 1) poinformować wszystkich, że czyn ów był czynem złym i 2) przestrzec innych przed podobnymi czynami. I tak się też dzieje. Ale oto może się zdarzyć, że z jakichś powodów ocena tego czynu nie dochodzi do głosu. Wówczas następuje zakłócenie samoregulacji. Psują się obyczaje, szerzy się bezprawie i demoralizacja. Nie inaczej też sprawa wygląda, gdy nie pochwała się czynów dobrych.

Od wieków zastanawiano się nad tym, co jest ważne w ocenie czynu: motyw, czyn, skutki, czy też np. zgodność czynu z normą moralną. Otóż ważne jest tutaj wszystko. Chodzi o to, że ten, kto działa, nie zaczyna od niczego. Działający w zasadzie zna już z góry ocenę czynu. Ocenia sam siebie, zanim oceniony zostanie przez innych. Chyba, że byłby to czyn (dobry lub zły) nieznanym jeszcze nikomu, jakimś nowym, np. przed dwudziestu laty porwanie samolotu. A więc czyn wywołuje rezonans — ocenę, ale ocena wywo-

luje również rezonans — postąpić źle (lub dobrze), czy nie (ukryć i jak ukryć np. swoje niemoralne postępowanie). Sprawa wygląda więc tutaj analogicznie, jak w teorii poznania.

Nie inaczej te sprawy się mają na gruncie innych teorii wartości, np. w estetyce. Malarz maluje obraz, a potem spotyka się z jego oceną. Ale z tego wcale nie wynika, że malarz nie ocenia obrazu; ocenia go jako pierwszy, już w trakcie malowania. Może ocenić go posługując się oceną własną, ale na ogół kieruje się gustem powszechnym, co stanowi swego rodzaju sprzężenie zwrotne: dzieło prowokuje ocenę, a ocena ma wpływ na kształt i charakter dzieła.

Metoda cybernetyczna, przyjmując istnienie układów samoregulujących się, jest przeciwna teoriom finalistycznym, idealistycznym i indeterminalistycznym. Do tego, żeby coś się działo na świecie, żeby następował ruch i rozwój, nie są potrzebne — według niej — siły nadprzyrodzone. Może ona być więc z powodzeniem stosowana w naukach społecznych tak, jak stosowana jest w naukach matematycznych: jest też, naszym zdaniem, bliska metodzie dialektycznej, a więc marksistowskiej metodzie badania zjawisk.

Henryk Borowski

„tego” najwyżej połowę. Młodzieńczość język nie ma nic wspólnego z młodzieńcowskim żargonem — każde pokolenie postępuje się własnym kodem — jest to po prostu inny język. Ważne, że Caius atakuje najbardziej potoczne, codzienne wyrażenia językowe, jakoś mocno osadzone we współczesnej „poliszczyźnie”. Myślę, że w tej batalii przydałoby się wsparcie prasy codziennej.

Zygmunt Kolczyński
Warszawa

PAWILON NA MAJDANKU

W pobliżu pomnika na Majdanku wznoszony jest pawilon, w którym, o ile wiem, znajdzie się sala wystawowa, służąca prezentacji obrazów i rzeźb z ogólnopolskich wystaw „Przeciw wojnie”. Budowa tego obiektu ciągnie się do nieskończoności, kiedy co kilka miesięcy odwiedzam Lublin, nie widzę niemal żadnych postępów w robocie. Tymczasem trzy, czy nawet cztery lata temu zapowiadano rychłe otwarcie pawilonu, a tym samym wiadomej ekspozycji, w której znalazłby się dzieła bardzo interesujące artystycznie i znaczące moralnie oraz politycznie. Więc pytam, jak długo jeszcze będę zmuszona informować koleżanki-plastyki w Gdańsku, że pawilon „jest w trakcie roboty”?

H. S.
(nazwisko i adres znane redakcji)

»KAMENA«

Nr indeksu 34-488

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRINA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 12 zł, kwartalnie 3 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego 15 okresu prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmują RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 60-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 4. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unieka 4.

Numer tamal: MIECZYSLAW PSUEK

Adres redakcji:
20-816 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 278-33

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-816 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; pocenne i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LEGraf. Zam. 2023, 21.06.73, 14.812, G-4

Kamena str. 11

NOWOŚCI WYDAWNICZE

PEDAGOGIKA

- Ferdynand Inlewski: Wychowawcza działalność szkoły radzieckiej. PWN 1973 s. 255, zł 39.—
Stanisław Krawcewicz: Współpraca i współżycie w zespołach nauczycielskich. PWN 1973 s. 221, zł 33.—
Anna Lukawska: Dydaktyczne przyczyny trudności w nauce domowej. Na podstawie badań V i VIII klas szkół podstawowych. PZWS 1973 s. 213, zł 21.—
Podstawy nauczania programowego. PWSZ 1973 s. 272, zł 29.— Drugie wydanie interesującej książeczki, w której nauczyciele znajdą wyjaśnienie podstawowych zagadnień nauczania programowego. Liczne przykłady tekstów zaprogramowanych.
Przykłady lekcji problemowych. PWSZ 1973 s. 328, zł 30.— Książeczka zawiera opisy sześciu lekcji problemowych z zakresu chemii fizycznej, księgowości, rysunku technicznego, pracowni elektrycznej, ekonomiki i organizacji przedsiębiorstw przemysłowych oraz mechaniki.
Zygmunt Putkiewicz: Uczenie się i nauczanie. Czynniki wpływające na efekty nauki szkolnej. Wydawn. Nasza Księgarnia 1973 s. 168, zł 12.—
Utopieści XVI i XVII wieku o wychowaniu i szkole. Ossolineum 1973 s. 338, zł 60.— Wybór prac 29 teoretyków wychowania, charakteryzujących utopijną wizję idealnej szkoły.

COPERNICANA

- Henryk Baranowski: Bibliografia kopernikowska. T. 2 za lata 1956—1971. PWN s. 129, zł 45.— Publikacja stanowi kontynuację opublikowanej w 1954 r. a rejestrującej stan piśmiennictwa za lata 1959—1953.
Karol Górski: Mikołaj Kopernik. Środowisko społeczne i samotność. Ossolineum 1973 s. 238, zł 40.—
Mikołaj Kopernik. Studia i materiały Sesji Kopernikowskiej w KUL 16—19 lutego 1972 roku. Praca zbiorowa. Wydawn. Tow. Nauk. KUL 1973 s. 327, zł 90.—
Bohdan Rymaszewski: Toruń w czasach Kopernika. Wyd. 2. PWN 1973 s. 69, zł 12.—
Karol Estreicher: Pamiątki kopernikowskie w Uniwersytecie Jagiellońskim. PWN 1973 s. 63, zł 10.—
Antoni Świątkowski: Wzschód Kopernika a kosmologia współczesna. PWN 1973 s. 88, zł 15.—
Alojzy Tujakowski: Mikołaja Kopernika „De revolutionibus”. Historia wydań. PWN 1973 s. 77, zł 12.—

NAUKA O LITERATURZE

- Edmund Jankowski: Eliza Orzeszkowa. PIW 1972 s. 632, zł 54.— Trzecie wydanie cennej monografii opublikowanej w ramach serii „Ludzie Ziwi” t. 8.
Mieczysław Jastrun: Walka o słowo. Czytelnik 1973 s. 191, zł 29.— Zbiór błyskotliwych esejów znakomitego poety.
O współczesnej kulturze literackiej. Ossolineum 1973 s. 362, zł 62.— Książeczka jest pierwszym tomem publikacji zbiorowej omawiającej problemy kultury literackiej w aspekcie całokształtu spraw współczesnej kultury.
Janusz Pele: Zbigniew Morsztyn na tle poezji polskiej XVII wieku. Wydawn. Wiedza Powszechna 1973 s. 238, zł 39.—
Programy i dyskusje literackie okresu Młodej Polski. Ossolineum 1973 s. 731, zł 43.— Niezwykłe cenna księga dla polonistów w ramach Biblioteki Narodowej Seria 1 t. 212, zawierająca przedruki artykułów programowych jednego z najbardziej zróżnicowanych artystycznie okresów w literaturze polskiej.

Wisław Szymański: Neosymbolizm. Wydawn. Literatka 1973 s. 383, zł 43.— Publikacji o awangardowej poezji polskiej w latach trzydziestych.

WSPOMNIENIA I PAMIĘTNIKI

- Karol Frankowski: Moje wędrówki po obczyźnie. PIW 1973 T. 1-2, zł 60.— Parafrazie wspomnienia polskiego pisarza z pierwszej połowy XIX wieku.
Wojciech Kosak: Wspomnienia. PAX 1973 s. 455, zł 60.— Doskonale wspomnienia znakomitego malarza.
Kazimierz Kuratowski: Pół wieku matematyki polskiej 1920—1970. Wspomnienia i refleksje. Wydawn. Wiedza Powszechna 1970 s. 191, zł 10.— Autor, światowej sławy matematyk, współtwórca Polskiej Szkoły Matematycznej, dzieli się z czytelnikami swoimi wspomnieniami i przemyśleniami.
Pamiętniki górników. Śląsk 1983 s. 491, zł 65.—
Ignacy Badziejowski: Pamiętnik powstańca 1831 r. MON 1973 s. 349, zł 25.—
Zulawicy. Wspomnienia osadników żuławskich. Wydawn. Morskie 1973 s. 456, zł 40.—

Król jest nagi

KROL jest nagi! — powiedział dziecko w znanej baśni Andersena. I miało rację. Na łamach „Polityki” (nr. 33) w roli dziecka wystąpił Leszek Konarski poruszając problem tzw. niewidzialnych, czyli sportowców, którzy figurują na listach płacy, ale nie przychodzą nawet odbierać poborów. Pieniądze im się dostarcza. Do dwuosobowych pokoi w hotelu robot-

nizym, z którego oczywiście, korzystają bezpłatnie. Nie mamy sportu zawodowego. Piłka nożna ma licznych zwolenników i bývá, że zabiega wielkiego kombinatu przemysłowego hołubi swoich lewo i prawoskrzydłych, na rękach (dosłownie) obnosi napastników i bramkarza. Jednorocznym czy kilkuletnim gwiazdom przewraca się w głowach i wszystkie hobby traktują jako rzecz normalną. Normalna rzecz jest również fikcyjny etat. Dobrych piłkarzy nie mamy za wielu, zawsze znajdują protektorów, którzy się nimi opiekują, w razie potrzeby dadzą mieszkanie, a nawet meble. Uchwała rządu nr. 78 określa zasady zwolnień zawodników w dniach treningów i na obozy. Każdy jednak wie, że ta uchwała jest często omijana w praktyce. Pozwoli kurze grędy, ona zeche wszędy. Wypadek, który omawia Konarski, dotyczy Wydziału Remontów Pieców Zakładu Remontów Hutniczych w Nowej Hucie. Oto bohaterzy: Edward K., lat 24, absolwent szkoły zawodowej, bez stażu pracy, ale z pensją 3 200 złotych miesięcznie; Jerzy G., lat 22, absolwent technikum, pracował tylko przez miesiąc w Tarnowie, zarobki — jak wyżej; Mieczysław A., lat 23, absolwent technikum, przez trzy lata pracował we Wro-

clawiu, obecna pensja powyżej 3 tysięcy złotych. Edward Z., lat 24, również absolwent technikum. Cała czwórka otrzymywała nie tylko pensje, ale również różnego rodzaju premie. Bomba wybuchła przy rozdzielaniu „trzynastki”. W zakładzie pracy rozwieszono listy nagrodzonych, a na niej znalazły się nazwiska osób, o których nikt nie słyszał, których nikt nie widział. Gdyby Edward K., Jerzy G., Mieczysław A. czy Edward Z. byli piłkarzami, takimi, co kopią piłkę, wszystko może rozszedłoby się po kosa. Wymlenieli zajmują się jednak piłką ręczną, a ta, jak wiadomo, zbyt wielu entuzjastów nie ma. Drużyna „Hutnika”, która reprezentują, należy ponadto do II ligi, jest więc to splendor nie najwyższej klasy. Całość sprawy rozpatrywano na zebraniu partyjnym. Jeden z inżynierów otrzymał nagane za tolerowanie „martwych dusz” (w rozmowie z reporterem tłumaczył się, że nagane otrzymał niestusznie, o istnieniu „martwych dusz” wiedziało całe kierownictwo zakładu, sam nie mówił o nich załóżce, aby jej nie drażnić, natomiast czterem sportowcom dano szansę: pozostaną w zakładzie, jeśli w ciągu trzech dni podejmą pracę. Spośród tej czwórki zgłosił się tylko jeden. Gdy się dowie-

dział, że będzie musiał przychodzić do pracy o godzinie szóstej rano i dopiero (tj. o godzinie dziesiątej) może być zwolniony, odmówił pertraktacji. Konarski konkluduje: „Rozpięczę czarne zwolnionych trawa u nas nie od dziś. Jeżeli klub nie ma pieniędzy, to nie będą grał. Do wysokiej miesięcznej pensji dochodzi często drugie tyle premii za mecze. Przy przejściu z klubu do klubu muszą oczywiście otrzymać mieszkanie i kilkadziesiąt tysięcy złotych na zagospodarowanie się. Na jakiej zasadzie trwa od lat cały ów proceder z „martwymi duszami”? Nie ma przecież w Polsce aktu prawnego szkalującego na całkowite urlopowanie pracowników — bez względu na to, czy jest on piłkarzem czy ministrem. Utrzymywanie fikcyjnie zatrudnionych pracowników to świadome łamanie prawa.” Czwórka „martwych dusz” z Nowej Huty będzie zapewne szukać innego zakładu pracy, innej drużyny. Skłonny jestem przypuszczać, że uda im się gdzieś zahaczyć, są zbyt pewni siebie. Można by machnąć ręką, gdyby opisany problem należał do jednostkowych. Ale wszyscy wiemy, że tak nie jest. Jakże więc wyjście? Zawodowo? Kto wie, czy nie byłoby ono lepsze od utrzymywania fikcji, która po prostu demoralizuje.

ZET

OBWJĘŚ PRZY TYM BYĆ...



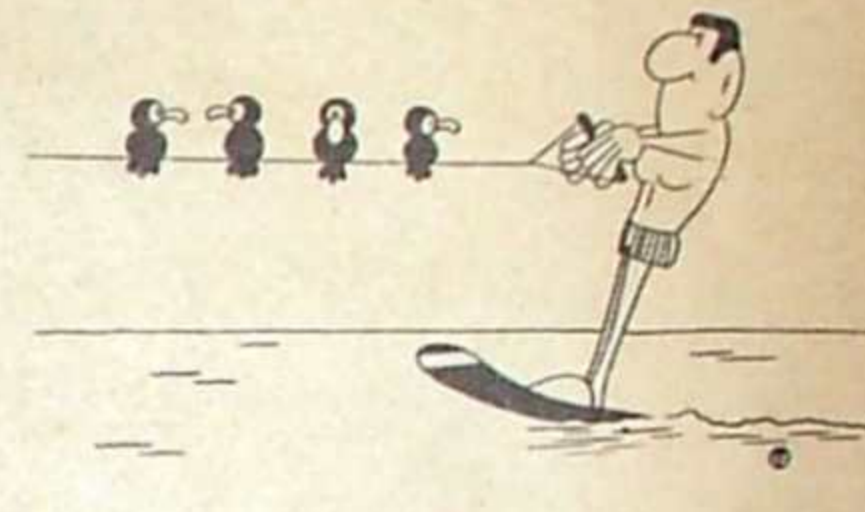
Zamiast not i notek

Też piknie!

WODPOWIEDZI na nasz apel w sprawie wzbogacenia „Not i notek” czytelnik „Kamień” (i „Nowego Wyraza”) p. Stefan Muszyński z Warszawy nadesłał wiersz Tadeusza Mocarskiego, otwierający lipcowy numer „Nowego Wyraza”. Wiersz ten (p. t. „Wszystcy jesteśmy wieśniakami”) brzmi tak: Wydaje się, że poeta Karasek jest wieśniakiem. Chociaż nie pisze wierszy o wal i przyjaźni się z wieloma poetami którzy legitymują się inteligentkiem pochodzeniem (Pomijam tu jego koczuch i inoazyntnie bokobrody) Widziałem poetę w restauracji jak zamawiał kotlet z pieczarkami wiewprzyw kotlet z kwika, który żarł osypkę i komosę latem który plawił się w gnojówce jakby w wannie (A pieczarki rosły w ciemnej piwnicy na końskich odchodach) Ten wiewprz nie miał łatwego życia, w czterech ścianach spędzał krótkie dzieciństwo i jeszcze krótszą młodość. Kiedy miał kilka tygodni wykastrowano go uroczystie. Patrzył na cunucha gospodarz tkliwie podsycał apetyt świeżym mlekiem

ogagał kamienne ściany stoma i perzem na zime Waży go razem z kobieta co wieczór przy kolacji przeliczał kilograpy na złotówki targowali się o każde deko Poeta Karasek lubi mięso dobrze wysmażony kawal wiewprzowiny i tym gestem określa się, że jest chłopem któremu trudno zamienić pachnący kotlet na metafore czy pumpernikiel A oto i komentarz p. Muszyńskiego: „Pan Mocarski mógłby się wreszcie zdecydować: stawiać przecinki lub ich nie stawiać, bo — jak widać — z kropkę zupełnie zrezygnował. Ale chodzi mi o coś zupełnie innego. Z wiersza dowiedziałem się, że pan Karasek (poeta) lubi mięso, a ściślej — dobrze wysmażony kawal wiewprzowiny i trudno mu zamienić pachnący kotlet na metaforę. Aby jednak jeść, trzeba pracować. Praca poety — to pisanie wierszy. Żeby więc jeść kotlet pan Karasek musi uprzednio choć na moment zamienić (inny) kotlet na metaforę.” Nie zgadzamy się z panem Muszyńskim. Wiersz Mocarskiego dowodzi, że bez metafory można się z powodzeniem obejść. Poza tym tym prosimy, aby nam pan pokazał poetę, który żyje z pisania wierszy! Włodzimierz Ścisłowski! Nie! On żyje z tekstów piosenek. A Krzysztof Karasek zapewne cierpi swe dochody z pracy redaktorskiej: jest sekretarzem redakcji „Nowego Wyraza”. Za pośrednictwem tegoż pisma dzięki denuncjacji Mocarskiego dowiedzieliśmy się, co stanowi ulubione menu sekretarza redakcji miesięcznika literackiego młodych. Za naszych czasów, gdy startowaliśmy w zawodzie, pisywano się wiersze na cześć ludzi wielkich. Osobiste gusty znanych poetów pozostawiali ich prywatną tajemnicą. Na przykład Adam Borzęcki (czterwójcowy numer „Nowego Wyraza”) napisał tak: „popatrz na moje ręce zawadowego poety / ty o równie pięknych dioniach palcach kurwy / moja miłość do ciebie / wychodzi przez krtani ustami / jak potok spermy płynący po twarzy”. Za naszych czasów pisało się inaczej. Zresztą, gdyby Adam Borzęcki tworzył wówczas, napisałby zapewne tak: „popatrz na moje ręce ludowego poety / ty o równie pięknych dioniach palcach traktorzystki / moja miłość do ciebie / wychodzi przez krtani ustami / jak potok stali spływającej z huty” Też piknie, jak mówią górale, prawda?

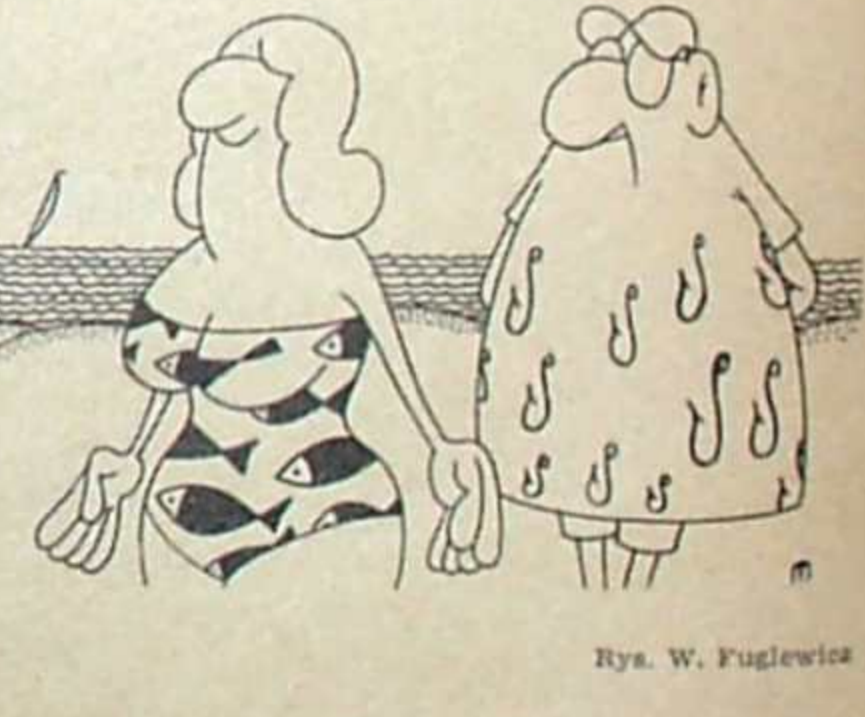
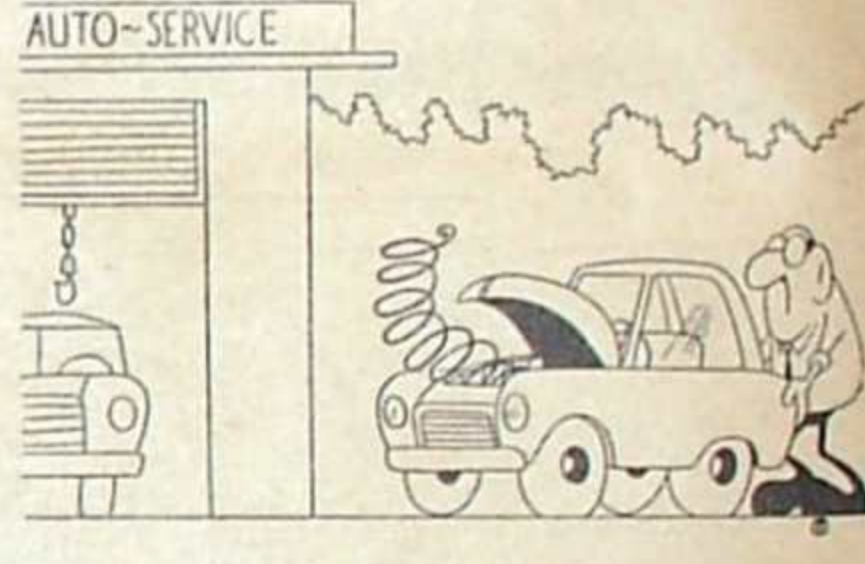
MAJ



Odpowiedzi redakcji

- F. J. w Zamościu.** Wiersze przeczytaliśmy. Niestety, żaden nie nadaje się do druku. Pyta Pan, jak wielu innych, którzy nadsyłają nam swe utwory do oceny, „czy warto nadal próbować?” Naszym zdaniem — NIE. Ale przecież możemy się mylić.
- Z. K. w Warszawie.** Ten wiersz, który Pan podpisał swoim nazwiskiem, już raz czytaliśmy. Czy Ryszard Liskowacki to Pana pseudonim? A swoją drogą nieładnie, bardzo nieładnie tak nas nabierać!
- B. Z. w Ostrowcu.** W opowiadaniu, które Pan nam uprzejmie nadesłał, jest nawet interesująca akcja. Wydaje nam się jednak, że pisał je Pan zbyt pośpiesznie, stąd pewne niekonsekwencje. Szerzej na ten temat wypowiemy się w liście. Również Pana pozdrawiamy. Czy już kiedyś gdzieś Pan drukował?
- B. R. w Krakowie.** Wiemy, o co Panu chodzi. Tytuł tej książki brzmi „Zdrada”. Autor — Vladimir Pazourek, „Książka i Wiedza” wydała ją rok temu. Jeśli nie znajdzie Pan w księgarniach, prosimy szukać w bibliotekach. Nakład 10 tysięcy egzemplarzy.
- M. P. w Tarnowie.** Niestety, nie jesteśmy w stanie drukować opowiadań kryminalnych. Nasza rubryka „Pod paragrafem” — o co Pan też pyta — nie jest „fikcją literacką”. Ze nie podajemy nazwisk? A czy Panu nie wszystko jedno, jeśli piszemy np. ob. K., a nie ob. Kowalski?
- B. Z. w Lublinie.** Materiał pt. „Zazdrość”, zamieszczony niedawno w „Kamieniu” ściśle — zdaniem autora — odpowiada prawdzie. W życiu zdarzają się różne rzeczy. Czy o wszystkich należy pisać? — zapytuje Pan. Gdyby chcieć pisać o wszystkich zabrakłoby papieru!
- R. K. w Lublinie.** Pana wspominki urlopowe niczego nowego nie wnoszą. Ze w domu wczasowym źle Pana karmili? Myśmy w tym czasie byli w Lublinie. O zaopatrzeniu naszego miasta w sierpniu hymnu pochwalnego nie napiszemy.
- B. B. w Toruniu.** Tyle razy prosiłmy, aby wiersze, jeśli nie można ich przepisać na maszynie, były pisane wyraźnie. Odczytaliśmy co drugie słowo. Czy po takiej lekturze można cokolwiek powiedzieć?
- Z. M. w Słupsku.** Rzeczywiście ma Pan rację: do rzadkości należą pisma codzienne, które w swych niedzielnych magazy-

- nach zamieszczają utwory poetyckie. „Trybuna Ludu” należy do wyjątków. Ale naczelny redaktor „Trybuna Ludu” też kiedyś parzył się poezją. Sentyment widocznie pozostał...
M. A. w Sandomierzu. Stanisław Szelest rzeczywiście mieszka w Pana mieście.
B. R. w Krośnie. Czy próbowała Pani zaprezentować swoje utwory redakcji rzeszowskich „Profil”? Oczywiście może Pani i nam przedstawić swój dorobek, ale przecież nie możemy z góry obiecać, że wydrukujemy.
R. K. w Lubartowie. Już wielokrotnie pisaliśmy i o Pańskim mieście. Nie jesteśmy jednak w stanie stale podejmować problematyki lubartowa. A tematy, które Pan podał, bardziej byłyby odpowiednie dla dziennika.
B. S. w Gdańsku. Do Sopotu nikogo nie wysyłaliśmy. Musi nas Pan zrozumieć: harmonogram druku naszego pisma jest rozłożony na trzy tygodnie. Przysłowiowa musztarda po obiedzie niezbyt smakuje.
K. B. w Trawnikaach. Właśnie obecnie, w związku z czterdziestolecie założenia „Kamienia”, planujemy zorganizowanie wielu spotkań z naszymi czytelnikami. Wszelkie propozycje mile widziane, ale konkretny termin musimy uzgodnić listownie.
B. M. w Zielonej Górze. My też jesteśmy zwolennikami wymiany materiałów między poszczególnymi pismami. Z „Nadodrzem” też eksperymentowaliśmy. Na pewno warto tę wspólną inicjatywę kontynuować.
K. L. w Łodzi. Dlaczego Pan na ten temat nie napisze do łódzkiej „Odgłosów”? Sprawa dotyczy Łodzi, trudno nam zajmować się bliżej sprawami kultury w tym mieście.
M. M. w Lublinie. O lubelskim teatrze piszemy wielokrotnie. Naszym zdaniem tzw. mała scena rzeczywiście jest wykorzystana w minimalnym stopniu.
B. R. w Kraśniku. Owszem, czytaliśmy tę książkę. Ale przecież trudno drukować nam wyjątki z książki, która już została wydrukowana.
B. K. w Suścu. Nie możemy zdradzać dalszego ciągu „Smaku miłości i łez” i nie jesteśmy w stanie wszystkim przesyłać brakujących odcinków. Tyle razy pisaliśmy, że najlepiej „Kamień” zapnumerować. W Suścu i w innych mniejszych miejscowościach — za pośrednictwem listonosza lub urzędu pocztowego. Szczegóły podajemy zawsze na przedostatniej stronie „Kamienia”.



Rys. W. Fuglewicz

Waleria Sulima
smak miłości i łez

A oto kolejny odcinek powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Początek”. Jak wierni czytelnicy pamiętają — Mariusz ma poważny kłopot po aresztowaniu ojca Basi, podejrzanego o machlojki, martwi o swoją pożyczkę. Wprawdzie matka Basi zwróciła mu 10 tysięcy złotych, niemniej wystąpiła przy okazji z nową propozycją. Co uczyni nasz bohater? Następnego dnia pod wieczór spotkali się we trójkę w „Czarnej Lipie” — Nina, Robert i Mariusz. Obaj mężczyźni szybko przypadli sobie do

gustu. Mariusz szczerze opowiedział o swoich kłopotach. Nina miała wplewkę na twarzy. Nie, nie chodziło jej nawet o ewentualną stratę pieniędzy, po prostu nie mogła zrozumieć, dlaczego jej brat tak lekomyślnie postąpił, dlaczego działając samodzielnie i nawet jej sumą dysponował bez żadnego porozumienia. Robert milczał. Nie znał się na kruczach prawniczych, ale w danym wypadku sama logika nakazywała, aby zwrócić się o pomoc do militej. Gdy to zaproponował, Mariusz ciągle się wahał. — Panie Mariuszu! — Robert usiłował go przekonać. — Ja naprawdę nie widzę innego wyjścia. Jeśli ojciec Basi został aresztowany, muszą mieć przeciwko niemu poważne dowody. A jaką ma pan pewność, że tylko pan jeden był tym natłumem, który dał się nabrać? A nie mógł być i ty? Ze jest pan w całej tej sprawie bezpośrednio zainteresowany. — Tak, Mariuszu — podchwyciła Nina — ja też nie widzę innego wyjścia. Mariusz ukrył twarz w ułotkach. Wszystko to było ponad jego siły. — Ale zrozumieć — wyjątko — że w ten sposób definitywnie skończy się moja znajomość z Basią. Ona jest mi tak bliska, że nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej! Jeśli pójdę na militej, już będzie koniec całej znajomości. Rozumiecie, koniecznie! Robert i Nina wymieniły spojrzenia. Rzeczywiście sprawa była bardzo delikatna. Robert był się pod-

trzymywał swoją propozycję, nie chciał, aby Nina odniosła wrażenie, że chodzi mu o jej pieniądze. Z drugiej strony Nina umiała uszanować uczucia brata. Powiedziała więc: — Zrobisz tak, jak będziesz uważał. Zostanów się jednak nad tym wszystkim. Następnego dnia rano Nina zatelefonowała do Mariusza. Podszedł do aparatu zdenerwowany. — Byłeś na militej? — brzmiały jej pierwsze słowa. — Nie... Jeszcze nie — dodał po krótkiej pauzie. — Mariuszu, bardzo cię proszę, niech ta cała sprawa zostanie między nami. Tyle mam teraz zmartwień. Obiecuje? — Chciałem się z tobą zobaczyć. Maza jakies nowe wiadomości? — Niestety, nie. Spotkajmy się dzisiaj wieczorem. Wpadniemy do mnie! — Wolałbym spotkać się gdzieś na mieście... Otóż oczywiście umówili się na siódmą przed Ogrodem Sakiem. — Strasznie jesteś dzisiaj markotny Mariuszu — powiedziała Zuzanna, gdy przez kilka minut byli tylko sami to pokój. — Mogłabym ci w czymś pomóc? Tak bardzo chciałabym ci w czymś pomóc... — A co ty byś pomogła? — odrzekł. Sam wycał, że wypadło to niegrzecznie, dodał więc łagodnie: — Są w życiu chwile takie sytuacje, w których sam tylko może sobie pomóc.

— To nieprawda. Czasem i tak jest być, kiedy człowiekiem dzieli się swoimi zmartwieniem z drugim człowiekiem. Jestem dla ciebie bardzo zły, chyba nie ma nikogo na świecie, kto tak bardzo chciałby twojego dobra. Ja, Mariuszu, ciągle myślę o tobie. Weźcie kierownika przetrwała tę rozmowę. — Panie Mariuszu — odwrócił się — sylvuje się nowy wyjazd. Tak dobrze się pan wywiązał, że postanowiliśmy wysłać pana na dwa dni do Szczecina. Oczywiście paną Zuzannę także. Oboje śmieją sobie radzić. No, nie ciesz się pan? Zuzanna zacerwieniła się. Mariusz nie wiedział, czy jest zdenerwowany czy nie. Myślał, był dokoła. W tym momencie znów zadzwonił telefon. Dawno! Robert. — Panie Mariuszu, mam ciekawą informację odnośnie ojca pani Basi. — Skąd? — Znajomości. Ta sprawa nie jest zresztą tak tajna. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli się z nim spotkać. Uda się panu zwinąć na moment? — Spróbuj. Kierownik nie czynił przeszkód. Ciągłe imponował mu ten chłopiec, który tak świetnie spisał się w Katowicach. — Panie Mariuszu, ale nie na drugiej niż godzinę — wspominał tylko. — Chętnie zostanę w nadgodzinach i ten raz odpracuję. — Dobrze, dobrze... (c.d.)